



Edgar Allan Poe

OPOWIEŚĆ ARTHURA GORDONA PYMA
Z NANTUCKET



49

ISBN 978-83-67876-29-2

BIBLIOTEKA ANDRZEJA SZLAKIEM PRZYGODY

Edgar Allan Poe

OPOWIEŚĆ ARTURA GORDONA PYMA Z NANTUCKET

Obejmująca szczegóły buntu i potwornej rzezi na pokładzie amerykańskiego brygu „Grampus” w czasie rejsu na morza południowe, zaszytych w czerwcu 1827 roku; wraz z opisem odzyskania tego statku przez ocalałych; rozbicia się go i wynikłych stąd okropnych męczarni spowodowanych głodem; uratowania rozbitków przez brytyjski szkuner „Jane Guy”; krótkiego rejsu tej drugiej jednostki po Oceanie Antarktycznym; zdobycia jej i masakrze załogi na grupie wysp leżących na osiemdziesiątym czwartym równoleżniku południowej szerokości geograficznej; jak również z opisem niewiarygodnych przygód i odkryć dokonanych jeszcze dalej na południe, do których doprowadziła owa przygnębiająca katastrofa.

1838

DZIENNIK JULIUSA RODMANA

Będący sprawozdaniem z pierwszego przejścia przez Góry Skaliste w Ameryce Północnej, jakiego dokonał kiedykolwiek cywilizowany człowiek



Edgar Allan Poe urodził się 19 I 1809 w Bostonie, zmarł 7 X 1849 w Baltimore, amerykański pisarz i krytyk literacki; romantyk.

Osierocony w wieku 2 lat (co z pewnością miało wpływ na jego psychikę) i wychowany przez rodzinę kupca J. Allana (stąd drugie imię), odbył kilkuletnią służbę w armii i krótkotrwałe studia na University of Virginia w Charlottesville oraz w Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych w West Point. W 1835 poślubił swą niespełna 13-letnią kuzynkę, która zmarła wkrótce na gruźlicę. Na jego biografię w ostatnim okresie złożyły się też problemy z alkoholem, nieudana próba samobójstwa, wreszcie śmierć w tajemniczych okolicznościach 7 X 1849 w Baltimore.

Karierę literacką rozpoczął od poezji; uprawiał lirykę posępnych wyznań i refleksji, przepojoną mrocznymi obrazami cierpienia i nieszczęśliwej miłości, wprowadzał do niej elementy fantastyczne; spośród licznych wierszy Edgara Allana Poego do najsłynniejszych należą *Kruk* (1845) i *Ulalume* (1847). Jego poezja miała charakter prekursorski wobec symbolizmu, którego przedstawiciele (głównie Ch. Baudelaire) stali się odkrywcami i naśladowcami Poego.

Jako prozaik, zwłaszcza autor krótkich opowiadań, zapoczątkował mroczną romantyczną prozę gotycką z wyraźnymi elementami fantastyki, horroru i groteski; często pojawiały się w nich obsesyjnie powtarzane tematy: śmierci, niesamowitych wizji i snów. Najbardziej znane z licznych utworów tego gatunku to: *Ligeja* 1837, *Zagłada domu Usherów* 1839, *Studnia i wahadło* 1843. W Polsce nowele te cieszą się niesłabnącą popularnością, Edgar Allan Poe był również twórcą prozy detektywistycznej, w której stworzył postać detektywa posługującego się w swojej pracy dedukcją, kładąc tym podwaliny pod współczesną powieść; do najlepszych opowiadań zalicza się: *Zabójstwo przy rue Morgue*, *Złoty żuk*, *Tajemnica Marii Rogêt* oraz *Skradziony list*.

Poe przyczynił się również do rozwoju amerykańskiej krytyki literackiej; był wnikliwym teoretykiem literatury, postulował ocenę formalnych cech dzieła, a nie jego kontekstu moralnego czy filozoficznego. Zajmował się ponadto, czerpiąc z tego zresztą w pewnych okresach znaczne dochody, redagowaniem magazynów, głównie literackich, m.in. „Southern Literary Messenger”, „Sunday Times”, „Broadway Journal”, bezlitośnie niszcząc reputację współczesnych mu pisarzy.

Edgar Allan Poe



OPOWIEŚĆ
ARTURA GORDONA PYMA
Z NANTUCKET

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

**Sto czterdziesta pierwsza publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Czterdziesty dziewiąty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
The Narrative of Arthur Gordon Pym of Nantucket

© Copyright for the Polish translation by Janusz Pultyn, 2024

70 ilustracji, w tym 5 kolorowych kart tablicowych i 7 kolorowych mappek:
Damian Christ

© Copyright for the cover and inside illustrations by Damian Christ, 2024

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja i korekta: Andrzej Zydorczak

Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2024

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-67876-29-2

Przedmowa

Po moim powrocie kilka miesięcy temu do Stanów Zjednoczonych, po ciągu nadzwyczajnych przygód przeżytych na morzach południowych i w innych miejscach, a sprawozdanie z których zawierają następujące stronicie, przypadek sprawił, iż w Richmond¹ w Wirginii spotkałem się towarzysko z paroma dżentelmenami, którzy objawili głębokie zainteresowanie wszystkim, co dotyczyło obszarów, które odwiedziłem i nieustannie naciskali na mnie uważając, że ogłoszenie publicznie opowieści o nich jest moim obowiązkiem. Miałem wszakże kilka powodów, ażeby uchylać się przed tym, pewne były czysto prywatne, dotyczyły wyłącznie mojej osoby, żadnej innej, inne zaś nie wyłącznie takie. Jednym z powstrzymujących mnie względów było to, że ponieważ przez większość czasu mojej nieobecności nie spisywałem dziennika, obawiałem się, iż nie zdołam wyłącznie z pamięci sporządzić sprawozdanie na tyle szczegółowe i spójne, aby miało *pozory* owej prawdy, jaką w istocie zawiera, pomijając jedynie ową naturalną i nieuniknioną przesadę, do której wszyscy jesteśmy skłonni opowiadając o wydarzeniach posiadających ogromną moc pobudzania wyobraźni. Innym powodem było to, że wydarzenia, które miałbym zrelacjonować, posiadały tak wielce cudowny charakter, iż nie będąc w stanie wesprzeć ich niczym poza moimi zapewnieniami (nie licząc świadectwa jednej tylko innej osoby, a jest ona półkrwi Indianinem), mogłem jedynie żywić nadzieję na danie mi wiary tylko przez rodzinę i tych z przyjaciół, którzy przez całe życie przekonywali się o mojej prawdziwości. Było atoli prawdopodobne, że znaczna większość

¹ *Richmond* – miasto we wschodniej części Stanów Zjednoczonych, założone w roku 1737, od 1780 stolica stanu Wirginia, podczas wojny secesyjnej stolica Konfederacji, ważny ośrodek administracyjny, naukowy i turystyczny; ok. 230 tysięcy mieszkańców.

czytelników to, co bym im przedstawił, uznałaby jedynie za bezwstydną i pomysłową bajanię. Właśnie niewiara we moje umiejętności pisarskie była zatem jednym z głównych powodów odstręczających mnie od ulegnięcia namowom wspomnianych doradców.

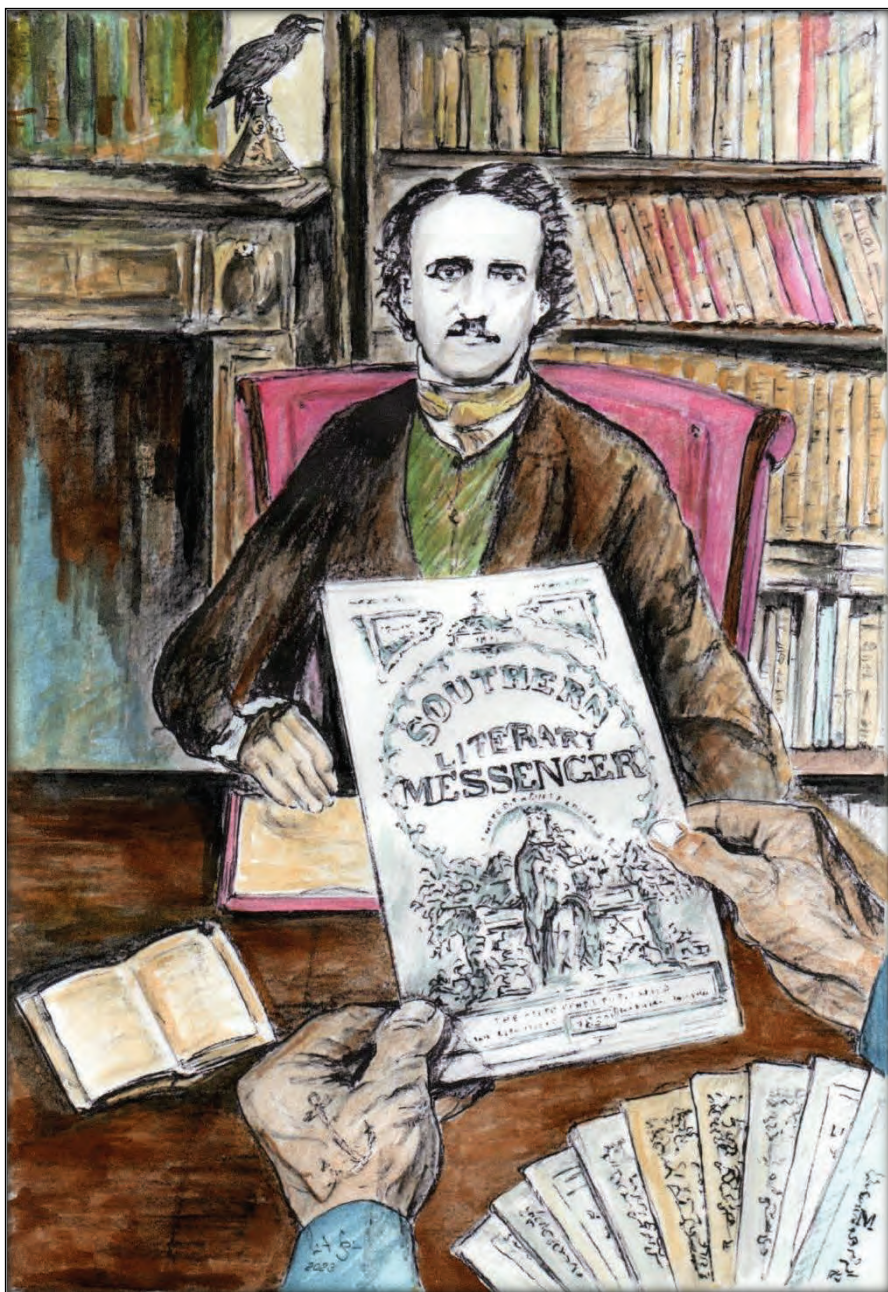
Wśród owych dżentelmenów z Wirginii, którzy wyrażali największe zaciekawienie moją opowieścią, a zwłaszcza tą jej częścią, która dotyczyła Oceanu Antarktycznego, był pan Poe¹, ostatnio redaktor „Southern Literary Messenger”², miesięcznika literackiego wydawanego w Richmond przez pana Thomasa W. White’a³. Obok innych zachęcał mnie on gorąco do natychmiastowego sporządzenia pełnego sprawozdania z tego, co żem widział i co mnie spotkało oraz do zaufania przenikliwości i rozsądkowi czytelników. Nalegał również, niezmiernie przekonująco, że książka ta, pomimo napisania jej przez autora równie niezdarne, co ja, powinna się ukazać, gdyż te właśnie jej niedostatki, jeśli w ogóle się zdarzą, powiększą jedynie szanse na uznanie jej za podającą prawdę.

Pomimo tych wywodów nie zdecydowałem się pójść za jego radą. Potem pan Poe zapytał (stwierdziwszy, że w tej sprawie jestem nieugięty), czy nie pozwolę mu na napisanie, własnymi jego słowami, sprawozdania z początkowych wydarzeń moich przygód, na podstawie faktów, jakie sam mu dostarczę, i na opublikowanie ich, pod przykrywką fikcji, w „Southern Messenger”. Na to zgodziłem się nie dostrzegając przeciwwskazań, zastrzegając jedynie, że moje prawdziwe nazwisko zostanie zachowane. Dwie części tej rzekomo wymyślonej

¹ Edgar Allan Poe (1809-1849) – amerykański pisarz, poeta i redaktor, przedstawiciel romantyzmu, autor wielu wierszy i opowiadań z gatunku fantastyki i literatury grozy, także wydanej w roku 1838 jedynej powieści *Przygody Artura Gordona Pyma*, pracował głównie jako redaktor różnych czasopism literackich, w tym w latach 1835-1837 w „Southern Literary Messenger”, gdzie publikował swe opowiadania i krytyki literackie, w tym fragmenty *Przygód Artura Gordona Pyma*.

² *Southern Literary Messenger* – amerykański miesięcznik literacki założony w Richmond w roku 1834 przez Thomasa Willisa White’a, ukazywał się do 1864, następnie krótko w latach 1939-1945.

³ *Thomas Willis White* (1788-1843) – amerykański drukarz, dziennikarz i redaktor, zwolennik praw Południa, obrońca niewolnictwa, twórca i redaktor naczelny miesięcznika „Southern Literary Messenger”.



Dwie części tej rzekomo wymyślonej powieści
pojawily się zatem w „Messengerze”.

opowieści pojawiły się zatem w „Messengerze” w styczniu i lutym (w roku 1837), a dla zapewnienia uznania jej za fikcję literacką, w spisie treści czasopisma owe artykuły opatrzone nazwiskiem pana Poe.

Przyjęcie, z jakim spotkał się ten podstęp, skłonił mnie w końcu do zabrania się do stałej, rzetelnej pracy i wydania drukiem opisu tychże przygód; przekonałem się bowiem, iż pomimo aury bajkowości, którą tak zręcznie nadano owej części mojego sprawozdania, jaka ukazała się w „Messengerze” (bez zniekształcenia czy zmiany choćby jednego faktu), czytelnicy wcale nie byli skłonni przyjmować go za wymysł, a do pana P. wysłano kilka listów wyrażających z przekonaniem przeświadczenie wprost przeciwne. Doszedłem przeto do wniosku, że wydarzenia z mojej opowieści posiadały taki charakter, iż sprawiały wrażenie dostatecznie dostarczających dowody swej prawdziwości, a zatem nie powinienem się zbytnio obawiać uznania ich przez czytelników za niewiarygodne.

Po tym wprowadzeniu stanie się od razu jasne, jak wiele z dalszej treści wyszło spod mojego pióra; okaże się również, że żaden fakt nie został przekreślony na pierwszych kilku stronicach napisanych przez pana Poego. Nawet tym czytelnikom, którzy nie czytali „Messengera”, nie jest konieczne zaznaczanie, gdzie kończy się część napisana przez niego, a zaczyna przeze mnie, różnice w stylu będą bez trudu dostrzegalne.

Nowy Jork, lipiec 1838 roku
A. G. PYM

Rozdział I

Nazywam się Arthur Gordon Pym. Mój ojciec był szanowanym kupcem zajmującym się handlem sprzętami żeglarskimi w Nantucket¹, gdzie się urodziłem. Dziadek ze strony matki był adwokatem prowadzącym udaną praktykę. Szczęściło mu się we wszystkim, grał z wielkim powodzeniem na akcjach Edgarton New Bank², jak się wcześniej nazywał. W ten i inne sposoby zdołał odłożyć znaczną sumę pieniędzy. Jak sądzę, darzył mnie większym uczuciem, niż kogokolwiek innego na świecie i spodziewałem się, że kiedy umrze, odziedziczę większą część jego majątku. Wysłał mnie, gdym miał sześć lat, do szkoły starego pana Rickettsa, dżentelmena mającego tylko jedną rękę i dziwaczne obyczaje – znają go dobrze niemal wszyscy odwiedzający New Bedford³. Byłem w jego szkole do szesnastego roku życia, a potem zmieniłem ją na akademię pana E. Ronalda na wzgórzach. Tam zaprzyjaźniłem się z synem pana Barnarda⁴, kapitana, żeglującego przeważnie na statkach Lloyda i Vredenburga – także pan Barnard jest bardzo dobrze znany w New Bedford i na pewno miał wielu krewnych w Edgarton⁵. Jego syn miał na imię Augustus

¹ *Nantucket* – małe (ma około 11 tys. mieszkańców) miasto w stanie Massachusetts ma wysepce tejże nazwy u północno-wschodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych, założone w roku 1659, port rybacki, w XIX wieku jeden z głównych ośrodków wielorybnictwa w USA, które przynosiło bogactwo miasta.

² *Edgarton New Bank* – zapewne pomyłka zamiast Edgartown New Bank.

³ *New Bedford* – miasto w stanie Massachusetts w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, port nad zatoką Buzzards, założone w roku 1652, port rybacki, w XIX wieku jeden z głównych ośrodków wielorybnictwa w USA, obecnie port rybacki, ma około 95 tys. mieszkańców.

⁴ *Barnard* – z rodziny Barnard z New Bedford pochodziło na początku XIX wieku wielu żeglarzy, np. David, dowódca „Magnolii”, Frederick, dowódca „Elizy”, Joseph, dowódca „Phebe Ann”, Thomas, dowódca „Fame”.

⁵ *Edgarton* – obecnie Edgartown, miasto w stanie Massachusetts w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, port na wyspie Martha’s Vineyard, założone w roku 1642, port rybacki, w XIX wieku jeden z głównych ośrodków wielorybnictwa

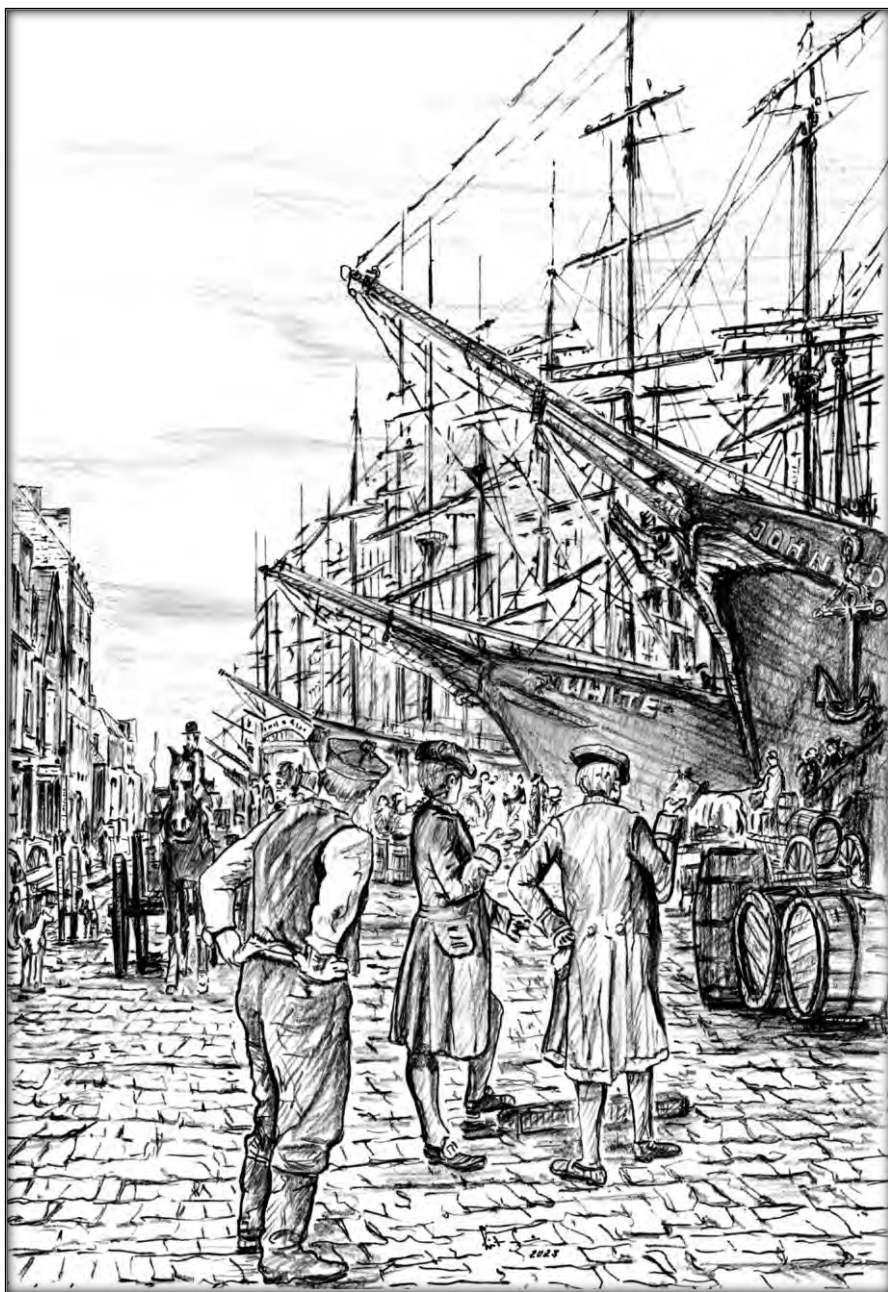
i był niemal dwa lata starszy ode mnie. Wziął z ojcem udział w wyprawie wielorybniczej na statku „John Donaldson” i ciągle opowiadał mi o swoich przygodach na południowym Pacyfiku. Często odwiedzałem go w domu, zostawałem tam przez cały dzień, a niekiedy i przez całą noc. Spaliśmy w jednym łóżku i przeważnie nie dawał mi zasnąć niemal do świtu, snując opowieści o tubylcach z wyspy Tinian¹ i o innych miejscach, które odwiedził podczas tego rejsu. Nie mogłem się oprzeć zainteresowaniu jego słowami i stopniowo nabierałem wielkiej chęci na wypłynięcie na morze. Miałem łódź żaglową o nazwie „Ariel”, wartą jakieś siedemdziesiąt pięć dolarów. Do połowy pokryta pokładem i posiadająca kabinę, była otaklowana jak slup² – zapomniałem, jaką miała wyporność, lecz mogła bez większego ścisku pomieścić dziesięć osób. Na tej łodzi mieliśmy zwyczaj wypływania w najpaskudniejszą pogodę i kiedy teraz pomyślę o tych głupich wyczynach, nie mogę się nadziwić, że nadal żyję.

Niech opowieść o jednej z takich przygód posłuży za wstęp do dłuższej i ważniejszej relacji. Pewnego wieczora pan Barnard wyprawił przyjęcie i pod jego koniec byliśmy z Augustusem więcej niż trochę pijani. Jak zwykle w podobnych przypadkach wołałem, zamiast wrócić do domu, zostać i spać w łóżku przyjaciela. Ten zasnął, jak sądziłem, bardzo spokojnie (przyjęcie skończyło się prawie o pierwszej) i nie wypowiedziawszy choćby słowa na swój ulubiony temat. Minęło jakieś pół godziny odkąd się położyliśmy, właśnie zasypiałem, gdy Augustus nagle się wyprostował i klnąc złożył straszną przysięgę, że nawet dla Arthura Pyma i całego świata chrześcijańskiego nie będzie spał, kiedy tak cudnie wieje bryza z południowego zachodu. Nigdy w życiu

w USA, ośrodek turystyczny z dobrze zachowanymi domkami, port jachtowy, ma około 4 tys. mieszkańców.

¹ *Tinian* – wyspa w archipelagu Marianów Północnych w północno-zachodniej części Oceanu Spokojnego, zamieszkała przez lud Chamorro, w latach 1669-1898 należała do Hiszpanii, potem do Stanów Zjednoczonych, podczas II wojny światowej ważna baza amerykańskiego lotnictwa morskiego; stąd wystartowały samoloty, które zrzuciły bomby atomowe na Hiroszimę i Nagasaki; o powierzchni 101 km², ma około 3 tys. mieszkańców.

² *Slup* – statek żaglowy posiadający jeden maszt – grotmaszt; podstawowe ożaglowanie slupa to grot oraz podnoszony na sztagu fok.



Ciągle opowiadał mi o swoich przygodach na południowym Pacyfiku.

nie byłem równie zdumiony; nie wiedziałem, co zamierza i uważałem, że od wypitego wina i mocnych trunków całkowicie stracił rozum. Mówił jednak dalej bardzo rozsądnie stwierdzając, iż wie, że uważam go za pijanego, lecz nigdy w życiu nie był bardziej trzeźwy. Ma tylko dosyć, dodał, leżenia jak pies w łóżku w tak piękną noc, jest zatem zdecydowany wstać, ubrać się i wyjść, aby zabawić się trochę na łodzi. Trudno mi powiedzieć, co mnie wtedy opętało, lecz ledwo te słowa padły z jego ust, kiedy poczułem dreszcz wielkiego podniecenia i radości, a także uznałem jego szalony pomysł za najwspanialszą i najrozsądniejszą rzecz na świecie. Dmuchała niemal wichura i było bardzo zimno – działo się to w końcu października. Pomimo tego wyskoczyłem z łóżka w rodzaju ekstazy i powiedziałem mu, że jestem równie odważny co on, że tak samo mam dość wylegiwania się w łóżku jak pies i że na zabawę czy swawolę jestem gotów nie mniej, niż każdy pierwszy lepszy Barnard z Nantucket.

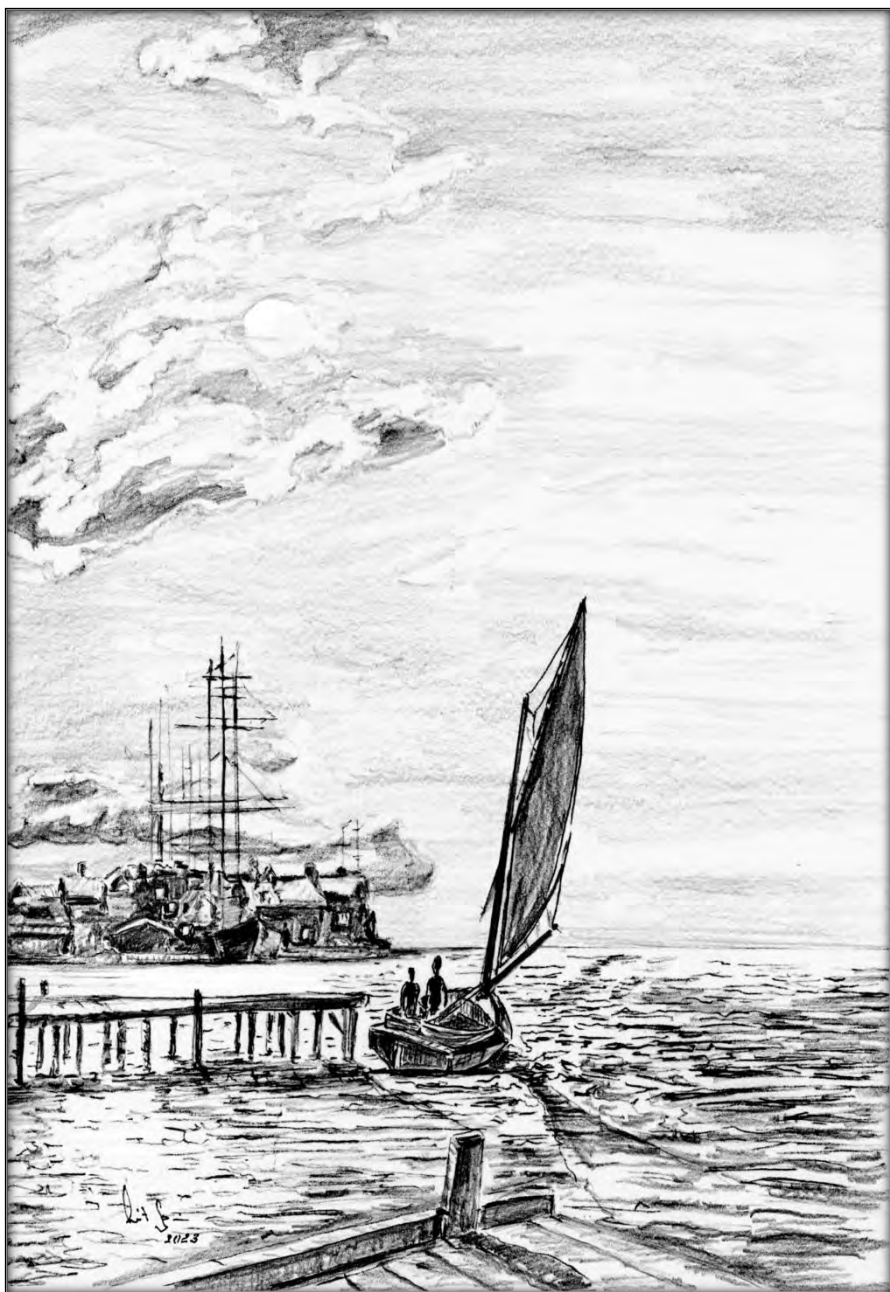
Bez straty czasu nałożyliśmy ubrania i pospieszyliśmy do łodzi. Cumowała przy starym, zbutwiałym nabrzeżu obok składu drewna firmy Pankey & Co., niemal rozbijając swe burty o ledwo ociosane belki. Augustus wszedł do niej i wybrał wodę, która wypełniała ją niemal do połowy. Uczyniwszy to, wciągnęliśmy fok¹ i grot², chwyciliśmy wiatr i śmiało wypłynęliśmy na morze.

Wiatr, jak powiedziałem, dmuchał mocno z południowego zachodu. Noc była bardzo jasna i chłodna. Augustus złapał rumpel³, ja zaś stanąłem przy maszcie, na pokładzie nad kajutą. Popłynęliśmy bardzo szybko – żaden z nas nie wyrzekł słowa, odkąd odbiliśmy od nabrzeża. Teraz zapytałem, jaki kurs wybrał i o której według niego najprawdopodobniej wrócimy. Augustus gwizdał kilka minut, a potem powiedział opryskliwie: „Ja zamierzam żeglować po morzu – ty zaś, jeśli chcesz, możesz wracać do domu”. Spojrzawszy na niego od razu zauważyłem, że pomimo udawanej *nonszalancji* był bardzo poru-

¹ *Fok* – główny żagiel przedniego masztu lub przy jednym maszcie żagiel pomiędzy nim a dziobem łodzi.

² *Grot* – największy żagiel grotmasztu lub główny żagiel łodzi jednomasztowych.

³ *Rumpel* – drążek przymocowany od góry do płetwy steru i pozwalający go skrecać, trzymany przez sternika.



Noc była bardzo jasna i chłodna. Augustus złapał rumpel,
ja zaś stanąłem przy maszcie.

Trudno jest pojąć ogrom mego lęku. Ulotniły się opary niedawno pochłoniętego wina, pozostawiając mnie dwakroć bardziej przestraszonym i niezdecydowanym. Wiedziałem również, że nie zdołam poprowadzić łodzi, a gwałtowny wiatr i silny odpływ pognają nas ku zagładzie. Za nami wyraźnie zbierało się na sztorm, a nie mieliśmy ani kompasu, ani zapasów żywności; było też jasne, że jeśli utrzymamy obecny kurs, przed świtem stracimy z oczu łąd. Myśli te, wraz z mnóstwem równie przerażających innych, przemykały mi przez głowę z oszalamiającą prędkością i przez pewien czas paraliżowały mnie, uniemożliwiając wszelkie działania. Łódź pędziła na wodzie ze straszliwą szybkością – przy pełnym wietrze – bez zrefowanego¹ i foka i grota – zanurzając całkowicie dziób w pianie. Dziw nad dziwy, że się nie ustawiła bokiem do fali – Augustus wypuścił rumpel, jak już powiedziałem, ja zaś byłem zbyt roztrzęsiony, aby pomyśleć o wzięciu go samemu. Całe wszakże szczęście, że łódź utrzymywała stały kurs, a ja stopniowo odzyskiwałem cząstkę jasności umysłu. Wiatr ciągle wzmagał się przerażająco, a gdy wznosiliśmy się z doliny fali, morze za nami załamywało się nad rufą, zalewając nas wodą. Ponadto tak całkowicie zdrętwiały mi wszystkie członki, że niemal niczego nie odczuwałem. Wreszcie z rozpaczyny wziąłem się w garść i pospieszyłem do głównego żagla, aby go opuścić. Jak można się było spodziewać, uleciał przed dziób i nasiąknięty wodą, złamał maszt tuż nad pokładem. To właśnie ocaliło mnie przed natychmiastową zagładą. Jedyne pod fokiem² płynąłem z wiatrem, będąc czasami zalewanym mocno przez burtę, lecz wyzwolony od groźby bliskiej śmierci. Chwyciłem ster i odetchnąłem z wielką ulgą przekonawszy się, że pozostała nam jeszcze szansa ujęcia z życiem. Augustus ciągle leżał nieprzytomny na dnie łodzi, a ponieważ groziło mu szybkie zatonięcie (woda tam, gdzie padł, miała stopę³ głębokości), zdołałem jakoś częściowo go unieść i utrzymywałem w pozycji siedzącej po uwiązaniu w pasie

¹ *Refowanie* – zmniejszanie powierzchni żagla stosowane przy silniejszych wiatrach, w celu zmniejszenia siły działającej na żagiel, obniżenia środka ożaglowania i zmniejszenia przechyłu.

² *Pod fokiem* – po złamaniu masztu przymocowany do niego fok nie mógłby się ostać.

³ *Stopa* – anglosaska miara długości, równa dwunastu calom, ma 30,48 cm.

liną, którą przymocowałem do knagi¹ na pokładzie nad kajutą. Zająwszy się tak wszystkim, na ile tylko mogłem w stanie wyziębienia i zdernerwowania, polecałem się Bogu i nastawiałem umysł na zmierzenie się z wszystkim, co się wydarzy, z pełnym hartem mojego ducha.

Ledwo to postanowiłem, kiedy nagle głośny i długi wrzask czy ryk, jakby pochodzący z gardel tysięcy demonów, przeszył całe powietrze wokół łodzi i nad nią. Nigdy, aż do końca życia, nie zapomnę niesłychanego cierpienia wywołanego odczuty wóczas lękiem. Włosy na głowie stanęły mi dęba – czułem krew krzepnącą mi w żyłach – serce niemal przestało mi bić, i nie podniósłszy choć raz oczu dla poznania źródła przestachu, i nieprzytomny upadłem jak ścięty na ciało mojego nieruchomego towarzysza.

Ocknąłem się w kabinie dużego statku wielorybniczego („Penguin”), płynącego do Nantucket. Kilka osób stało nade mną, a Augustus, bledszy niżli śmierć, gorliwie rozcierał mi ręce. Kiedy ujrzał, że otworzyłem oczy, zaczął wydawać okrzyki wdzięczności i radości, wywołujące na przemian śmiechy i łzy u obecnych, wyglądających na twarde osobniki. Szybko wyjaśniła się tajemnica naszego pozostawiania przy życiu. Wpadł na nas statek wielorybniczy, pod kątem niemal prostym do naszego kursu, płynący do Nantucket pod wszystkimi żaglami, jakie ośmielił się postawić. Na oku² na dziobie stało kilku ludzi, lecz naszą łódź dostrzegli dopiero wtedy, gdy nie sposób już było uniknąć zderzenia – to ich krzyki ostrzegawcze tak strasznie mnie przeraziły. Jak mi powiedziano, ogromny statek natychmiast przetoczył się przez nas równie łatwo, co nasza łódka przemknęłaby przez piórko, bez najmniejszego choćby powstrzymania swego ruchu. Z naszego pokładu nie podniósł się żaden krzyk – usłyszano tylko zmieszany z rykiem wiatru i wody lekki zgrzyt, kiedy rozgniatany nędzny bark³

¹ *Knaga* – drewniana lub metalowa część osprzętu łodzi w kształcie rogów, służy do umocowywania różnych lin.

² *Oko* – w gwarze żeglarskiej postereunek obserwacyjny na statku i marynarz pełniący tę służbę.

³ *Bark* – typ żaglowca mający co najmniej trzy maszty, z których ostatni ma ozagłowanie suche (skośne), najczęściej gaflowe, a pozostałe – rejowe, tu jako synonim żagłówek.



Jak mi powiedziano, ogromny statek natychmiast przetoczył się przez nas.

tarł przez chwilę o kil¹ swego niszczyciela – lecz nic więcej. Uważając, że nasza łódź (która, jak należy pamiętać, była pozbawiona masztu) to był tylko kadłub jako bezużyteczny oddany na łaskę fal, kapitan (E. T. V. Block z New London²), chciał płynąć dalej, nie przejmując się dłużej tym wydarzeniem. Na szczęście dwaj obserwatorzy kleli się, że zauważyli kogoś przy naszym rumplu i uważali, że jest pewna możliwość uratowania tej osoby. Dyskusja trwała, aż Block się rozłożył i po chwili powiedział, „że nie jest jego sprawą ciągle uważanie na skorupki jajek, że statek *nie* może się zatrzymać przy każdym takim głupstwie, a jeśli na kogoś tam wpadliśmy, to niczyja wina, że może on sobie utonąć albo pójść w diabły”, i dalej podobnymi słowami. Wtedy to odezwał się Henderson, pierwszy oficer, słusznie oburzony, jak i cała załoga, ową mową świadczącą tak otwarcie o bezdusznym okrucieństwie. Nie miarkując słów, gdyż czuł poparcie ludzi, powiedział kapitanowi, iż uważa go za godnego szubienicy, i że nie wypełni jego rozkazu, choćby miał zostać za to powieszony w chwili, gdy postawi nogę na lądzie. Pobiegł na rufę, odepchnąwszy Blocka (który zbladł i nic nie odparł) na bok, i chwyciwszy za ster, wydał rozkaz pewnym głosem: *Ostro na zawietrzna!*³ Ludzie skoczyli na swe miejsca, i statek zręcznie zawrócił. Wszystko to zajęło prawie pięć minut i przyprawiano za niemal wykluczone, aby kogoś udało się uratować – jeśli w ogóle ktoś był na pokładzie łodzi. A jednak, jak czytelnik zauważył, zdołano ocalić Augustusa i mnie, a nasze wybawienie zawdzięczaliśmy dwom niemal niepojętym trafom szczęścia, przez mądrych i pobożnych przypisywanych szczególnie działaniom Opatrzności.

Gdy statek był jeszcze w łopocie⁴, oficer polecił spuścić szalupę i wskoczył do niej z tymi dwoma ludźmi, którzy, jak sądzę, zawołali,

¹ *Kil* (stęпка) – długa belka biegnąca wzdłuż statku, na samym dnie kadłuba, na której opiera się jego konstrukcja, mocowane są do niej wręgi.

² *New London* – miasto w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, w stanie Connecticut, port nad zatoką Long Island Sound, założone w roku 1646, na początku XIX wieku jeden z trzech największych amerykańskich ośrodków wielorybicznych, obecnie miasto portowe, zabytkowe i uczelniane, ma około 27 tys. mieszkańców.

³ *Zawietrzna* – strona statku, przeciwna do tej, na którą wieje wiatr (nawietrzna).

⁴ *Łopot* – takie ustawienie statku żaglowego z postawionymi żaglami, w którym znajduje się w linii wiatru, bez łapania go w żagle.

kiedy zobaczyli mnie przy sterze. Ledwo opuścili kilwater¹ statku (księżyc nadal świecił jasno), ten wykonał długi i trudny zwrot na zawietrzną, a właśnie wtedy Henderson w tej samej chwili skoczył z miejsca wrzeszcząc do załogi łodzi, aby popłynąć *wstecz*. Nie był w stanie mówić nic więcej – powtarzał jedynie niecierpliwie, *Wstecz! Wstecz!* Ludzie popłynęli do tyłu najszybciej jak mogli, lecz statek zdążył się już obrócić i sporo oddalić, chociaż wszyscy na pokładzie z ogromnym wysiłkiem starali się zwinąć żagle. Pomimo związanego z tym niebezpieczeństwa, oficer złapał ławeczki², kiedy tylko znalazły się w jego zasięgu. Kolejne wielkie szarpnięcie statku wynurzyło z wody jego sterburę³ niemal po kil, a wtedy przyczyna niepokoju Hendersona stała się dostatecznie jasna. Ukazało się ciało człowieka w bardzo dziwny sposób przytwierdzone do gładkiego i lśniącego dna („Penguin” był pokryty miedzianą blachą i miał miedziane okucia) i bijące w nie gwałtownie przy każdym ruchu kadłuba. Po kilku bezowocnych wysiłkach dokonywanych podczas przechyłów statku i pomimo wielkiego niebezpieczeństwa zatopienia szalupy, zostałem wreszcie wyzwolony z owego groźnego położenia i zabrany na pokład – tak się bowiem złożyło, że było to moje ciało. Okazało się, że jeden z drewnianych kołków obluźował się i przecisnął przez miedz; to on właśnie mnie zatrzymał, gdy przepływałem pod statkiem, w ten oto niezwykle sposób przytwierdzając mnie do jego dna. Czubek kołka przeszył kołnierz zielonej sukiennej kurtki, którą miałem ma sobie, i wbił się mi w kark, aby utknąć pomiędzy dwoma ścięgnami i tuż poniżej prawego ucha. Natychmiast zostałem położony na łóżku – chociaż zdawało się, że życie całkowicie mnie opuściło. Na pokładzie nie było lekarza. Kapitan zajął się mną wszakże z wielką troską – aby wyrazić skruchę, jak przypuszczam, w oczach załogi za swe okrutne postępowanie w poprzedniej części owej przygody.

¹ *Kilwater* – zawirowanie wody powstające za rufą, zazwyczaj z powodu poruszania się statku, układające się w widoczny ślad spienionej wody.

² *Ławeczki* – dawniej na żagłowcach deski wywieszane na sznurach poza burty statku, których stawali marynarze rzucający sondy czy logi albo malujący burty.

³ *Sterburta* – prawa, patrząc w stronę dziobu, burta statku.

W tym czasie Henderson odbił ponownie od statku, chociaż wiatr nabrał teraz niemal siły huraganu. Nie minęło wiele minut, zanim wpadł na szczątki naszej łodzi, a zaraz potem jeden z towarzyszących mu ludzi zaklął się, że dosłyszał dobiegające w przerwach pomiędzy rykami sztormu wołanie o pomoc. Zagrzało to śmiałego żeglarsza do prowadzenia poszukiwań przez ponad pół godziny, chociaż kapitan Block ciągle wzywał ich sygnałami do powrotu i chociaż w każdej chwili w tak kruchej łodzi groziło im bliskie i śmiertelne niebezpieczeństwo. Rzeczywiście, nie sposób było pojąć, jak mała szalupa, którą zajmowali, mogła dłużej niż przez chwilę uniknąć zniszczenia. Zbudowano ją jednak w celu polowań na wieloryby i była wyposażona, jak mam powody od tej pory sądzić, w komory powietrzne, podobnie jak niektóre łodzie ratownicze używane przy wybrzeżach Walii.

Po daremnych poszukiwaniach przez wspomniany czas, marynarze zamierzali już wracać na statek. Ledwo podjęli tę decyzję, kiedy z ciemnego przedmiotu, który szybko przepłynął obok nich, dobiegł słaby krzyk. Dogonili go i przeszukali. Okazało się, że był to cały pokład nad kajutą „Ariela”. Augustus miotał się obok, najwyraźniej w ostatnich rzutach agonii. Złapawszy go stwierdzili, że jest przywiązany liną do pływającego kawałka drewna. Liną tą, jak trzeba pamiętać, obwiązałem go w pasie i przymocowałem ją do knagi, aby utrzymać przyjaciela w pozycji podniesionej, a dzięki temu, jak się okazało, uratowałem mu życie. „Ariel” był lekkiej budowy i po zdarzeniu rozpadł się oczywiście na kawałki, a wtedy pokład nad kabiną, jak należało się tego spodziewać, oderwał się pod naporem wody od reszty kadłuba i utrzymywał się (na pewno z innymi fragmentami) na powierzchni morza. Augustus unosił się wraz z nim i w ten oto sposób uniknął straszliwej śmierci.

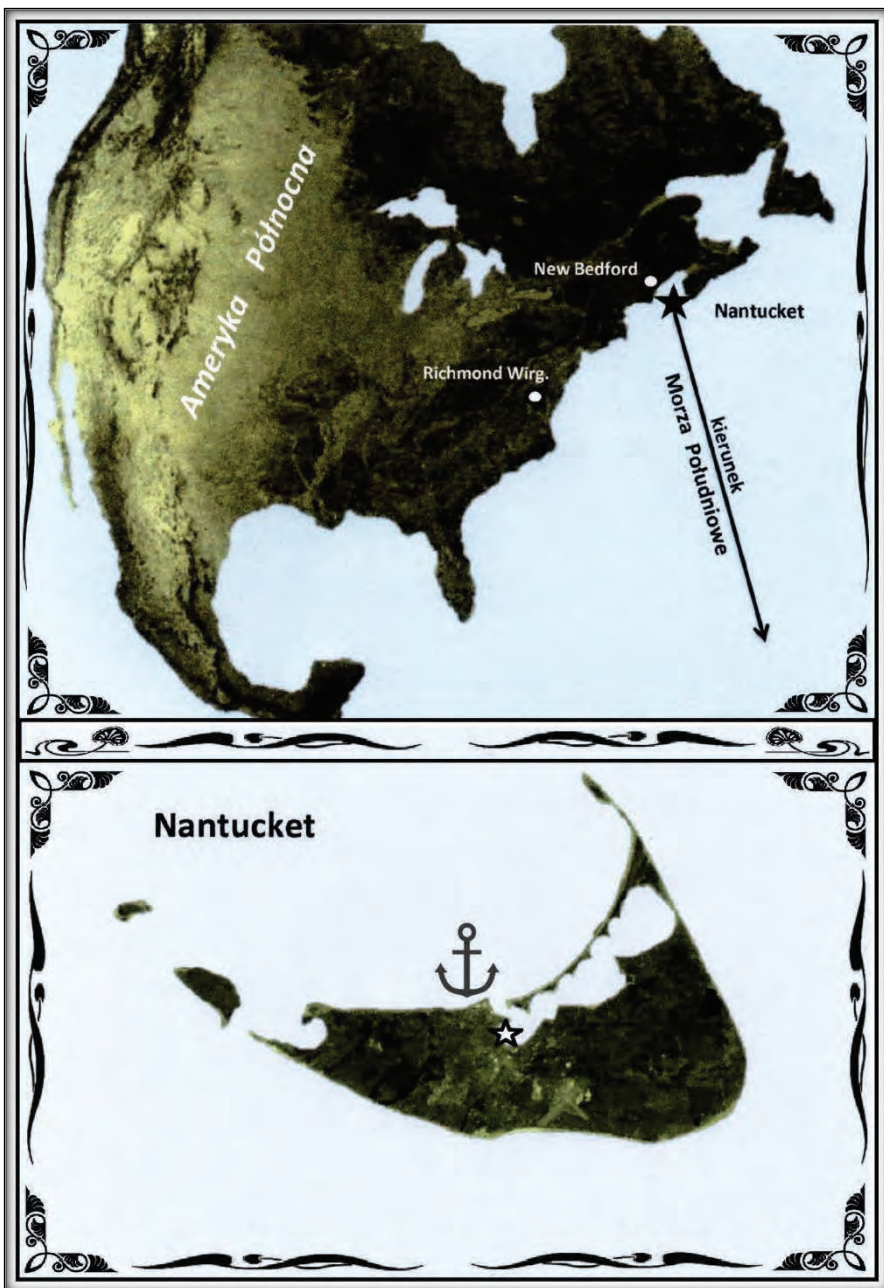
Minęło więcej niż godzina od zabrania go na pokład „Penguina”, zanim był w stanie cokolwiek pojmować albo uświadomić sobie charakter wypadku, jaki spotkał naszą łódź. Wreszcie go dostatecznie ocucono i mógł opowiadać obszernie o swych przeżyciach podczas pobytu w oceanie. Po pierwszym odzyskaniu odrobiny przytomno-

ści stwierdził, że jest pod wodą, wirując z niepojętą prędkością, z liną owijającą się trzema czy czterema ciasnymi pętlami na jego szyi. Po chwili poczuł, że jest gwałtownie ciągnięty w górę, a kiedy uderzył mocno głową o coś twardego, znowu utracił zmysły. Ocknąwszy się raz jeszcze pojmował już więcej, choć nadal był mocno oszołomiony i otumaniony. Wiedział teraz, że doszło do jakiegoś wypadku i że jest w wodzie, chociaż usta miał ponad jej powierzchnią, dzięki czemu niemal swobodnie oddychał. Być może pokład był wtedy szybko gnany wiatrem, wlekąc go za sobą, unoszącego się na plecach. Dopóki utrzymywał tę pozycję, było niemal niemożliwe, aby utonął. Wreszcie podmuch rzucił go w poprzek pokładu i zdołał się tak na nim utrzymywać, co jakiś czas wzywając pomocy. Tuż przed znalezieniem go przez pana Hendersona musiał z wyczerpania zwolnić uchwyt i wpadłszy do wody, uznał się za straconego. Przez całą tę walkę o życie zapomniał zupełnie o „Arielu”, jak też o wszystkim, co dotyczyło przyczyn jego położenia. Całkowicie ogarnęło go nieokreślone bliżej uczucie przerażenia i rozpacz. Kiedy wreszcie został wyciągnięty, przytomność opuściła go zupełnie, i jak już powiedziałem, minęła prawie godzina od wyciągnięcia na pokład „Penguina”, zanim w pełni uświadomił sobie swoje położenie. Ja natomiast ze stanu bardzo blisko graniczącego ze śmiercią (i po wszelkich innych próbach ratunku czynionych naderemnie przez trzy i pół godziny) zostałem przywrócony do życia dzięki usilnym rozcieraniem flanelowymi szmatami maczanymi w gorącym oleju – sposób ten doradził Augustus. Rana na moim karku, chociaż wyglądała paskudnie, tak naprawdę okazała się niegroźna i wkrótce nie pozostał po niej żaden ślad.

„Penguin” wszedł do portu około dziewiątej rano, po zmaganiu się z jedną z najgorszych nawałnic, jakie wystąpiły w okolicy Nantucket. Augustus i ja zdążyliśmy dotrzeć do pana Barnarda akurat na śniadanie, które na szczęście z powodu wieczornego przyjęcia trochę się spóźniło. Przypuszczam, że wszyscy przy stole byli sami zbyt zmęczeni, aby zauważyć nasze wyczerpanie – oczywiście spostrzegliby je, gdyby przyjrzeni się bliżej. Uczniowie potrafią jednak dokonywać cudów oszustwa i naprawdę wierzę, że żaden z naszych przyjaciół

w Nantucket nie nabrał najmniejszych podejrzeń, iż rozgłaszana przez niektórych żeglarzy w mieście straszna opowieść o zatopieniu przez nich na morzu statku i śmierci w wodzie trzydziestu czy czterdziestu nieszczęśników, ma coś wspólnego z „Arielem”, moim kolegą i ze mną. Obaj bardzo często rozmawialiśmy potem o tej sprawie – zawsze wszakże odczuwając dreszcze. Podczas jednej z naszych rozmów Augustus przyznał szczerze, że w całym życiu nigdy nie doświadczył równie potwornego poczucia przerażenia jak wówczas, kiedy na pokładzie naszej łódki uświadomił sobie stopień swego upicia i poczucia, jak ulega jego wpływowi.





Nantucket, kierunek Morza Południowe, Ameryka Północna,
New Bedford, Richmond Wirginia

Rozdział II

W żadnej sprawie, gdy w grę wchodzi uprzedzenia, bez rozważania za czy przeciw, nie możemy z całkowitą pewnością wyciągać wniosków, choćbyśmy wychodzili od najprostszych danych. Można by sądzić, że taki wypadek, o którym właśnie opowiedziałem, powinien skutecznie stłumić kiełkującą we mnie miłość do morza. Wprost przeciwnie, nigdy nie doznałem gorętszej tęsknoty za dzikimi przygodami związanymi z życiem żeglarza, co w tygodniu, który upłynął od naszego cudownego ocalenia. Ten krótki okres okazał się dostatecznie długi, aby wymazać z mojej pamięci cienie i utrwalić w jasnym świetle wszystkie przyjemnie pociągające barwy, całą malowniczość niedawnego niebezpiecznego przeżycia. Moje rozmowy z Augustusem stawały się coraz częstsze i przesycone coraz większą ciekawością. Miał on zwyczaj snucia opowieści o oceanie (ponad połowa z nich, jak teraz podejrzewam, była czystym wymysłem) akurat w sposób, który odpowiadał mojemu entuzjastycznemu temperamentowi i trochę mrocznej, choć rozpalonej wyobraźni. Dziwne jest ponadto, że moje dążenia do zostania żeglarzem najmocniej pobudzał wtedy, gdy opowiadał o najbardziej okropnych chwilach cierpień i rozpaczy. Do jaśniejszej strony obrazu czułem mniejszy pociąg. Roiłem o rozbiciu się statku i głodzie, o śmierci lub niewoli u barbarzyńskich hord, o życiu pędzonym w żalu i łzach, na jakiejś przygnębiającej i samotnej rafie, pośród niedostępnego i nieznanego oceanu. Takie wizje czy pragnienia – gdyż przeszły w pragnienia – występują często, jak upewniłem się później, u całej licznej rasy ludzi melancholijnych – lecz w czasie, o którym mówię, uważałem je wyłącznie za prorocze przebłyśki przeznaczenia, które, jak czułem, będę w stanie wprowadzić w życie. Augustus w pełni podzielał mój stan umysłu. Jest nawet prawdopodobne, że nasz bliski związek doprowadził do częściowego podzielenia się charakterami.

Jakieś osiemnaście miesięcy po katastrofie „Ariela” firma Lloyd i Vredenburgh (spółka powiązana w pewien sposób, jak sądzę, z *Messieurs Enderby*¹ z Liverpoolu) zajęła się naprawą brygu² „Grampus”³ i przystosowaniem go do wyprawy wielorybniczej. Była to stara łajba, ledwo nadająca się do pływania, gdy zaczęto robić przy niej co tylko możliwe. Trudno zgadnąć, dlaczego wybrano ją zamiast innych dobrych jednostek należących do tych samych właścicieli – lecz tak właśnie było. Pana Barnarda wyznaczono na dowódcę, a Augustus miał z nim wypłynąć. Kiedy bryg już kończono, przyjaciel często namawiał mnie do wykorzystania doskonałej okazji, jaką los teraz zsyłał i abym spełnił marzenia o podróży. Nie znajdował we mnie wcale niechętnego słuchacza, lecz sprawa nie była taka prosta do przeprowadzenia. Ojciec nie sprzeciwił się wprost, lecz matka wpadła w histerię na samą wzmiankę o mojej chęci, a przede wszystkim dziadek, po którym wiele się spodziewałem, zapowiedział, że nie da mi ani szylinga⁴, jeśli choćby napomknę mu choć słówko na ten temat. Trudności te nie zdołały jednak ostudzić moich pragnień, dolewały jedynie oliwy do ognia. Byłem zdecydowany wypłynąć nie zważając na żadne zagrożenia, i po zapoznaniu Augustusa z moimi chęciami, przystąpiliśmy do układania planu, jak można byłoby je spełnić. Przede wszystkim przestałem rozpowiadać moim bliskim o rejsie, a ponieważ ostentacyjnie zająłem się gorliwie nauką, uznali oni, że porzuciłem swe zamiary. Później często na moje ówczesne postępowanie spoglądałem z uczuciami niezadowolonia, jak też zdziwienia. Olbrzymią hipokryzję, z jaką dążyłem do spełnienia swojego planu – hipokryzję przez tak długi okres przepełniająca każde moje słowo czy działanie – mogłem odczuwać jako znośną dla siebie jedynie z powodu dzikich i palących oczekiwań, z jakimi dążyłem do spełnienia długo żywionych marzeń o podróży.

¹ *Messieurs Enderby* – także Samuel Enderby and Sons i Enderby Brothers, firma założona około 1775 wieku w Londynie przez Samuela Enderby’ego, posiadała statki wielorybnicze, które dokonały kilku odkryć geograficznych w okolicach Antarktydy, np. w roku 1825 kapitan George Norris odkrył wyspę Bouveta, którą nazwał Liverpool; zbankrutowała w roku 1854.

² *Bryg* – dwumasztowy żaglowiec z żaglami rejowymi.

³ *Grampus* (ang.) – orka, delfin, skrytoskrzel (rodzaj salamandry).

⁴ *Szyling* – jednostka monetarna Wielkiej Brytanii do roku 1971; stanowił 1/20 część funta szterlinga, a sam z kolei dzielił się na 12 pensów.

Przy wprowadzaniu w życie mojego podstępnego oszustwa byłem zmuszony większość przygotowań zostawić Augustusowi, który znaczną część każdego dnia spędzał na pokładzie „Grampus”, wykonując w kabinie i w ładowni różne zlecenia ojca. Wieczorami spotykaliśmy się jednak na naradach i rozmowach o naszych nadziejach. Po upływie w ten sposób niemal miesiąca, bez wymyślenia żadnego planu, który według nas miałby szanse na powodzenie, Augustus powiedział mi wreszcie, że ustalił wszystko, co należało zrobić. Mam mieszkającego w New Bedford krewnego, pana Rossa, w którego domu zdarzało mi się spędzać niekiedy po dwa lub trzy tygodnie. Bryg miał wypłynąć w połowie czerwca (roku 1827) i uzgodniliśmy, że dzień czy dwa przed jego wyjściem w morze mój ojciec otrzyma jak zwykle liścik od pana Rossa zapraszający mnie do spędzenia dwóch tygodni z Robertem i Emmetem (jego synami). Augustus zobowiązał się do sporządzenia tej wiadomości i jej dostarczenia. Po rzekomym wyruszeniu do New Bedford, miałem zgłosić się u towarzysza, który przygotowuje dla mnie kryjówkę na „Grampusie”. Kryjówkę tę, jak mnie zapewniał, urządzi tak, aby była dostatecznie wygodnym schronieniem na wiele dni, podczas których nie wolno mi się będzie pokazywać. Kiedy bryg odpłynie tak daleko, że nie będzie już mowy o jego zawróceniu, zamieszkać otwarcie, jak twierdził, w pełnej wygodzie kabiny, zaś jego ojciec jedynie roześmieje się ze szczerego serca na wieść o tym żarcie. Na pewno napotkamy jakiś statek, na który będzie można przekazać list wyjaśniający moim rodzicom całą tę przygodę.

Nadeszła wreszcie połowa czerwca i dojrzała pora działania. List został napisany i doręczony, a w poniedziałek¹ rano opuściłem dom udając się rzekomo na statek pocztowy do New Bedford. Poszedłem jednak prosto do Augustusa, czekającego na mnie na rogu ulicy. Według pierwotnego planu miałem ukrywać się aż do zmroku, a potem wślizgnąć się na bryg, lecz zdarzyła się sprzyjająca nam gęsta mgła i ustaliliśmy, że szkoda czasu na czekanie. Augustus poszedł pierwszy na nabrzeże, ja zaś podążałem za nim w pewnej odległości, otulony

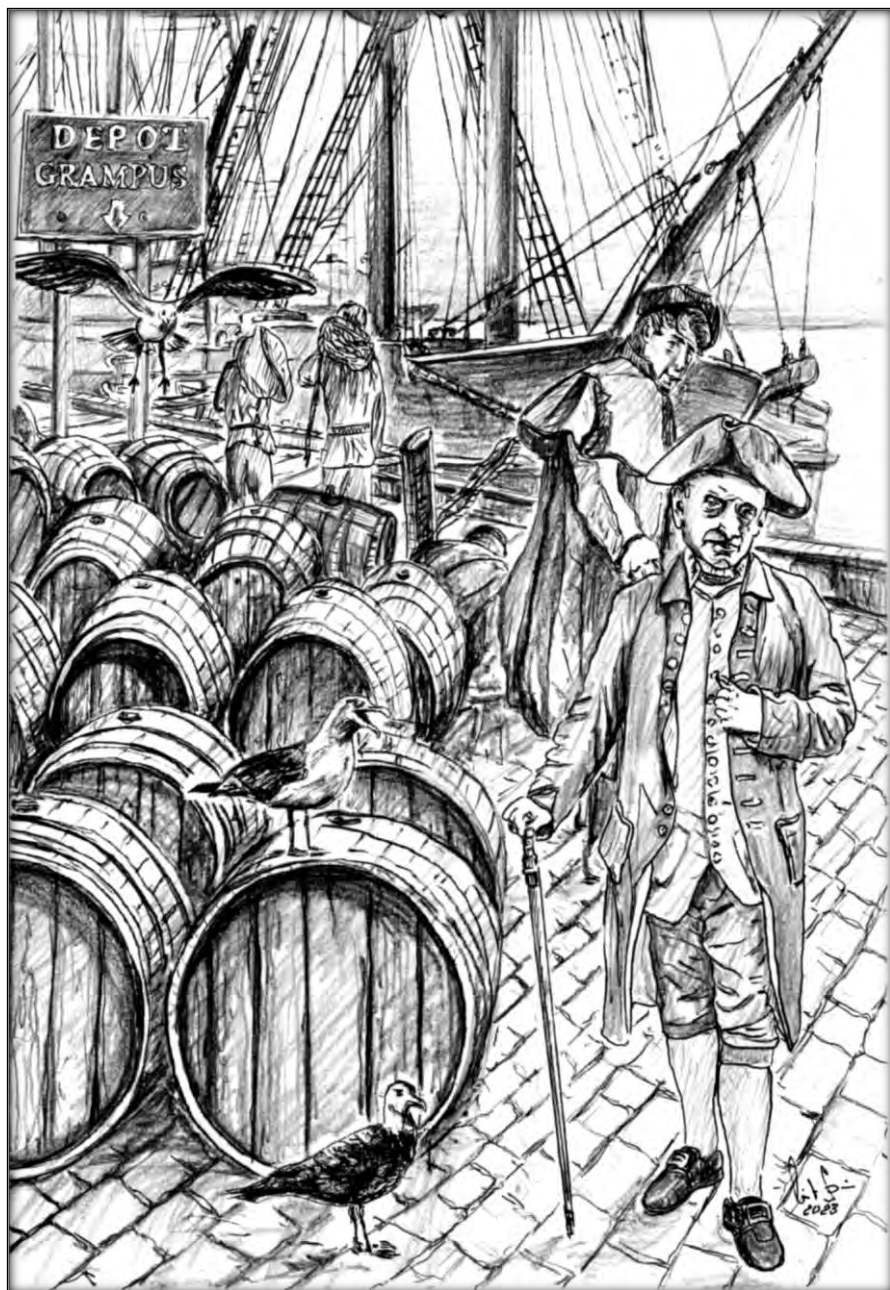
¹ *Poniedziałek* – w czerwcu 1827 roku poniedziałki wypadły 4, 11, 18 i 25 dnia tego miesiąca.

grubym płaszczem marynarskim, który przyniósł, tak iż trudno było mnie rozpoznać. Zaraz po skręceniu po raz drugi i minięciu studni pana Edmunda, któż to się pojawił, stojąc wprost przede mną i patrząc mi w oczy, jak nie stary pan Peterson, mój dziadek. „– No, na mą duszę, Gordonie” – powiedział po długim milczeniu – no, no, czyj jest ten brudny płaszcz, który nosisz? – Waszmość panie!” – odparłem, przyjmując, najlepiej jak mogłem, zgodnie z potrzebami chwili, postawę urażonego zdumienia i mówiąc najbardziej opryskliwie, jak potrafiłem. – Waszmość panie! Pomylił żeś się pan okropnie – po pierwsze, nie mam wcale na imię Gordon, a miarkuj se też lepiej, stary capie, nim mojom nowom kapotę przewiesz brudnom”. Z wielkim trudem zdołałem się powstrzymać przed wybuchem śmiechu ujrawszy, jak stary dżentelmen przyjął tę zręczną przymówkę. Cofnął się dwa czy trzy kroki, najpierw zbladł, a potem mocno poczerwieniał, nałożył okulary, następnie zdjął je znowu i ruszył na mnie w ataku, z uniesionym parasolem. Zatrzymał się jednak zaraz w swym pędzie, jakby coś sobie nagle przypomniał, i wtedy, odwróciwszy się, pokuśtykał ulicą, trzęsąc się cały ze złości i mrużąc pod nosem: „Niemożliwe – nowe okulary – myślałem, że to Gordon – i t-ten nicpoń, żeglarski drągał”.

Po tym, jak ledwo uniknąłem wpadki, szliśmy dalej z większą ostrożnością i do naszego celu dotarliśmy bezpiecznie. Na pokładzie byli tylko dwaj lub trzej członkowie załogi, lecz znajdowali się na dziobie, zajęci sprząaniem w dziobówce¹. Kapitan Barnard, jak dobrze wiedzieliśmy, załatwiał jakieś sprawy w biurze spółki Lloyd i Vredenburgh i miał pozostać tam do późnego wieczora, a zatem nie musieliśmy się go zbytnio obawiać. Augustus pierwszy przekroczył burtę statku, a po chwili ja za nim, niezauważony przez pracujących. Od razu poszliśmy do kabiny² dla oficerów, w której nikogo nie zastaliśmy. Została wyposażona we wszelkie luksusy, co było czymś dość niezwykłym na statku wielorybniczym. Znajdowały się tam cztery wiel-

¹ *Dziobówka* – nadbudówka w przedniej części statku, wznosząca się ponad główny pokład.

² *Kabina* – tu w znaczeniu zespołu pomieszczeń na statku, a nie jednego, znajdującego się pod pokładem.



Nieвозможиwe – nowe okulary – myślałem, że to Gordon
– i t-ten nicpoń, żeglarski draęal.

ce wspaniałe kajuty, z szerokimi i wygodnymi kojami¹. Zauważyłem także ogromny piec oraz zdumiewająco grube i cenne dywany pokrywające podłogi w kabinie i kajutach. Powąła była na wysokości pełnych siedmiu stóp i mówiąc krótko, wszystko okazało się bardziej przestronne i przyjemne, aniżeli oczekiwałem. Augustus nie dał mi jednak dużo czasu na przyglądanie się, wskazując na konieczność jak najszybszego ukrycia się. Poprowadził mnie do swojej kajuty, leżącej na sterburcie brygu, obok grodzi². Gdy weszliśmy tam, zamknął i zarygłował drzwi. Pomyślałem, że nigdy nie widziałem pokoiku ładniejszego od tego, w którym się teraz znalazłem. Miał jakieś dziesięć stóp długości i tylko jedną koję, która, jak już powiedziałem, była szeroka i wygodna. W części kajuty najbliższej grodzi była przestrzeń o powierzchni czterech stóp kwadratowych, w której znajdował się stół, krzesło i wiszący regał, z półkami pełnymi książek, głównie o podróżach i wyprawach. Pokój ten miał wiele innych drobnych wygód, spośród których nie powinienem zapomnieć o rodzaju szafki czy spiżarki z lodem, w której Augustus pokazał mi mnóstwo smakołyków, zarówno do jedzenia, jak i do picia.

Potem kłykciami palców nacisnął pewne miejsce dywanu w narożniku przestrzeni, o której dopiero co wspomniałem, oznajmiając mi, że kawałek podłogi, o powierzchni około szesnastu cali kwadratowych, został tam zgrabnie wycięty i ponownie dopasowany. Kiedy popchnął ten kawałek, podniósł się on z jednej strony na tyle, aby Augustus mógł wsadzić pod niego palec. W ten sposób podźwignął klapę trapu³ (do której dywan był nadal przymocowany ćwiekami) i zobaczyłem, że prowadzi on do ładowni rufowej. Następnie fosforowaną zapałką zapalił świeczkę i umieściwszy ją w ślepej latarni⁴, opuścił się z nią przez

¹ *Koja* – łóżko na statku, umocowane na stałe, lub w przypadku koi piętrowych – składane, umieszczone we wspólnym pomieszczeniu załogi lub pasażerów.

² *Gródź* – pionowa przegroda kadłuba statku dzieląca jego wnętrze na przedziały; wodoszczelne grodzie poprzeczne i wzdłużne wzmacniają szkielet kadłuba i zwiększają niezatapialność statku.

³ *Trap* – różnego rodzaju schodki na statku, prowadzące z jednego pokładu na drugi; także schodki lub kładka służące do schodzenia ze statku i wchodzenia na pokład.

⁴ *Ślepa latarnia* – latarnia rzucająca światło tylko w dół.



Towarzysz pokazał mi teraz, że jedną z bocznych ścianek skrzyni można łatwo otwierać.

otwór, dając znak, bym poszedł w ślad za nim. Uczyniłem tak, a wtedy przykrył właz klapą mającą od spodu wbity gwóźdź – dywan zajął oczywiście swe poprzednie miejsce na podłodze kabiny, skrywając wszelkie ślady otworu.

Świeczka dawała tak nikłe światło, że z najwyższym trudem pokonywałem drogę przez płataninę belek, w której się znalazłem. Stopniowo jednak moje oczy przywykły do mroku i poruszałem się łatwiej, trzymając połę płaszcz przyjaciela. Ten doprowadził mnie wreszcie, po przeciskaniu się niezliczonymi krętymi i wąskimi przejściami, do obitej żelazem skrzyni, podobnej do używanej czasami do pakowania cennej ceramiki. Miała prawie cztery stopy wysokości i całe sześć długości, lecz była bardzo wąska. Na jej wierzchu leżały dwie duże puste baryłki po oleju, a na nich wielkie liczby słomianych mat, piętrzących się aż do podłogi kabiny. Wszędzie wokół, najciaśniej jak tylko można, poupychany był aż po sufit istny chaos sprzętów okrętowych niemal wszelkiego rodzaju, wraz z labiryntem rozmaitych skrzyni, koszy, beczek i bel, tak iż na prawdziwy cud zakrawało to, że w ogóle zdołaliśmy odnaleźć przejście do skrzyni. Dowiedziałem się później, że Augustus celowo tak umieścił rzeczy w tej ładowni, aby zapewnić mi pewne schronienie, mając przy tej pracy tylko jednego pomocnika, który nie wypłynął na brygu w rejs.

Towarzysz pokazał mi teraz, że jedną z bocznych ścianek skrzyni można łatwo otwierać. Przesunęła się w bok ukazując wnętrze, które ogromnie mnie ucieszyło. Materac z jednej z koi kabiny pokrywał całe dno, znajdowało się też tam niemal wszystko, co mogło zapewnić wygody, tak upchane w ciasnej przestrzeni, że w owej izdebce zostało dość miejsca, abym mógł albo siedzieć, albo leżeć wyciągnięty. Między innymi, było tam kilka książek, pióro, atrament i papier, trzy koce, duży dzban pełen wody, baryłka sucharów żeglarskich, trzy lub cztery ogromne kielbasy bolońskie¹, wielka szynka, zimny udziec pieczonego barana oraz pół tuzina butelek nalewek i likierów. Od razu usadowiłem się w moim małym apartamencie z zadowoleniem większym,

¹ *Kielbasy bolońskie* – podobne do mortadeli, robione z mięsa wieprzowego, popularne w świecie anglosaskim.

jestem pewny, niż mógłby doświadczyć każdy król wchodzący do swego nowego pałacu. Augustus nauczył mnie teraz, jak mocować otwierany bok skrzyni, a potem, przysunawszy świeczkę do pokładu, pokazał mi leżący wzdłuż niego kawałek cienkiego sznura. Jak powiedział, biegnie on od mojej kryjówki, wijąc się z konieczności między belkami, do gwoździa wbitego do pokładu nad ładownią, tuż pod klapą prowadzącą do jego kajuty. Dzięki temu sznurowi będę mógł znaleźć drogę wyjścia bez jego przewodnictwa, gdyby jakiś nieprzewidziany wypadek wymusił taką potrzebę. Potem odszedł, zostawiając mi latarnię, wraz z obfitym zapasem świeczek i zapalek, obiecując przy tym odwiedzać mnie tak często, jak tylko będzie mógł bez zwracania niczyjej uwagi. Było to siedemnastego czerwca¹.

Przez trzy dni i noce (o ile mogłem się zorientować) pozostawałem w kryjówce, wcale jej niemal nie opuszczając, zrobiłem to tylko dwa razy, aby rozprostować nogi stojąc między dwiema pakami naprzeciw otworu skrzyni. Przez cały ten czas nie widziałem Augustusa, to jednak niezbyt mnie martwiło, gdyż wiedziałem, że bryg może w każdej chwili wypłynąć, a w zamieszaniu trudno było mu znaleźć sposobność do zejścia do mnie. Wreszcie usłyszałem, jak otwiera i zamyka się klapa, a potem ktoś zawołał przyciszonym głosem pytając, jak się mam i czy czegoś nie potrzebuję. „– Niczego – odparłem. – Całkiem dobrze sobie radzę; kiedy bryg wypłynie? – Podniesie kotwicę za niecałe pół godziny” – odpowiedział. „Przyszedłem cię o tym zawiadomić, a także z lęku, że martwisz się moją nieobecnością. Przez pewien czas nie będę mógł tu się pokazywać, może przez trzy lub cztery dni. Na pokładzie wszystko idzie dobrze. Kiedy odejdę i zamknę klapę, podkradnij się wzdłuż sznura do gwoździa, który go mocuje. Znajdziesz tam mój zegarek – może ci się przydać, gdyż nie dociera tu światło dnia, po którym rozpoznawałbyś upływ czasu. Pewnie nie wiesz, jak długo jesteś tu pogrzebany – tylko trzy dni – dziś mamy dwudziesty czerwca. Przyniosłbym sam zegarek do twojej skrzyni, lecz boję się, że będę komuś potrzebny”. Rzekłszy to, odszedł.

¹ *Siedemnasty czerwca* – w roku 1827 w ten dzień przypadała niedziela, a nie poniedziałek.

Jakąś godzinę po jego odejściu poczułem wyraźnie ruch brygu i pogratulowałem sobie, że nareszcie rzeczywiście rozpocząłem rejs. Uradowany tą myślą, postanowiłem zachować w miarę możliwości spokój umysłu i zaczekać, aż będę mógł zamienić skrzynię na przestronniejsze, choć niewiele wygodniejsze, mieszkanie w kabinie. Moją pierwszą troską było zabranie zegarka. Zostawiwszy płonąca świeczkę, macałem drogę w mroku, podążając za sznurem wijącym się w niezliczonych zakrętach, po niektórych z nich, jak się przekonałem, pokonawszy sporą drogę znajdowałem się stopę czy dwie od poprzedniego miejsca. Wreszcie dotarłem do gwoźdźcia i zdobywszy cel mojej wyprawy, wróciłem z nim bezpiecznie. Przejrzałem teraz książki, w które zostałem tak przezornie wyposażony i wybrałem opis wyprawy¹ Lewisa² i Clarke'a³ do ujścia Kolumbii⁴. Pochłonęła mnie na jakiś czas, a kiedy stałem się śpiący, wielce ostrożnie zgasilem światło i szybko zapadłem w mocny sen.

Obudziwszy się, poczułem dziwne otumanienie umysłu i minęło trochę czasu, zanim zdołałem sobie przypomnieć o wszystkich okolicznościach mojego położenia. Stopniowo jednak każde zdarzenie powróciło mi w pamięci. Skrzesawszy światło, spojrzałem na zegarek, lecz ten stanął i nie mogłem w żaden sposób ustalić, jak długo spałem. Miałem mocne skurcze kończyn i musiałem im ulżyć, stając między skrzyniami. Odczułem wówczas niemal wilczy apetyt i pomyślałem o zimnej baraninie, napoczętej tuż przed pójściem spać i uznanej przeze

¹ *Wyprawa* – pierwsza dokonana przez mieszkańców Stanów Zjednoczonych, która dotarła do wybrzeża Pacyfiku; odbyta przez Meriwethera Lewisa i Williama Clarka, którzy na zlecenie rządu wyruszyli w roku 1803; w październiku 1805 osiągnęli ujście Kolumbii i bezpiecznie powrócili.

² Meriwether *Lewis* (1774-1809) – amerykański wojskowy i podróżnik, kapitan armii, dowódca wyprawy do wybrzeża Pacyfiku, od roku 1808 gubernator Luizjany, zmarł tajemniczo.

³ William *Clark* (1770-1838) – u E. Poego: Clarke, amerykański wojskowy i podróżnik, porucznik armii, współdowódca wyprawy do wybrzeża Pacyfiku, od roku 1813 generał gubernator Missouri, od 1820 superintendent do spraw Indian.

⁴ *Kolumbia* – duża rzeka w zachodniej części Ameryki Północnej, długości 2000 km, wypływa z jeziora Kolumbia w kanadyjskich Górach Skalistych, płynie przez stan Waszyngton w USA, stanowi granicę między stanami Waszyngton i Oregon, uchodzi do Oceanu Spokojnego.

mnie za doskonałą. Jakże się zdumiałem stwierdziwszy, że całkowicie zgniła! Wywołało to mój wielki niepokój, gdyż skojarzywszy to z doznawanym po przebudzeniu zamroczeniem umysłu, zacząłem podejrzewać, że musiałem spać niezwykle długo. Mogło mieć coś z tym wspólnego stęchłe powietrze, potrafiące przecież doprowadzić do bardzo poważnych skutków. Głowa bolała mnie ogromnie, zdawało mi się, że każdy oddech przychodzi mi z wielkim trudem, mówiąc krótko, pogrążyłem się w mnóstwie ponurych myśli. Niemniej nie śmiałem wywołać zamieszania poprzez otwarcie kłapy czy też uczynienie czegoś innego i nakręciwszy zegarek, trzymałem się, na ile tylko byłem w tym stanie.

Przez całe następne nużące dwadzieścia cztery godziny nikt nie przyszedł do mnie z pomocą i nie mogłem się powstrzymać przed oskarżaniem Augustusa o tak wielkie zaniedbywanie mnie. Głównie martwiło mnie to, że w dzbanie zostało tylko mniej więcej pół pinty¹ wody, a odczuwałem silne pragnienie, gdyż po stracie baraniny zjadłem sporo kielbasy bolońskiej. Byłem bardzo zdenerwowany i nie mogłem już dłużej skupiać się na książkach. Opanowała mnie też chęć spania, lecz drżałem na samą myśl o jej ulegnięciu, gdyż w ograniczonym powietrzu kryjówki mogły występować jakieś szkodliwe składniki, jak czad wydzielany przez płonący węgiel. Kołysanie się brygu mówiło mi jednocześnie, że jesteśmy na pełnym morzu, a niskie buczenie, dobiegające do moich uszu jakby z ogromnej odległości, wskazywało, że nie wieje zwykła bryza. Nie potrafiłem wyobrazić sobie przyczyny nieobecności Augustusa. Na pewno wypłynęliśmy już na tyle daleko, żeby pozwolił mi wyjść. Mógł zdarzyć mu się wypadek, lecz nie przychodził mi do głowy żaden, przez który miałby mnie dręczyć tak długim uwięzieniem, chyba że nagle zmarł albo wypadł za burtę, a po tej myśli straciłem wszelkie resztki cierpliwości. Być może powstrzymał nas niekorzystny wiatr i nadal znajdowaliśmy się w pobliżu Nantucket. Musiałem jednak porzucić ten pogląd, gdyż

¹ *Pinta* (półkwarta) – jednostka objętości lub pojemności stosowana głównie w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii oraz Irlandii; pinta angielska ma 0,568 l, pinta amerykańska – 0,473 l.

w takim przypadku bryg musiałby często zawracać, a byłem całkowicie pewien, na podstawie stałego pochylenia na bakburtę¹, że cały czas płyniemy z niezmiennym wiatrem od sterburty. Ponadto gdybyśmy nadal przebywali w pobliżu wyspy, czemu Augustus nie miałby przyjść powiadomić mnie o tym? Zastanawiając się tak nad kłopotami wynikającymi z mojego samotnego i niewesołego położenia, postanowiłem odczekać kolejne dwadzieścia cztery godziny, a gdy nie doczekam się pomocy, pójdę do klapy i spróbuję albo porozmawiać z przyjacielem, albo przynajmniej zaczerpnąć przez otwór odrobinię świeżego powietrza, a z kajuty zabrać zapas wody. Pochłonięty tymi myślami, pomimo wszelkich wysiłków, aby temu zapobiec, zapadłem w stan głębokiego snu, czy raczej odrętwienia. Moje sny były najstraszliwszymi koszmarami. Opadły mnie obrazy pełne wszelkiego rodzaju nieszczęść i przerażeń. Jedną z tych okropności było zgniatanie mnie na śmierć wielkimi poduszkami przez demony o najbardziej upiornych i krwiożerczych kształtów. Ogromne węże trzymały mnie w uścisku, wpatrując się zachłannie w moją twarz straszliwie lśniącymi oczami. Potem rozciągały się przede mną pustynie, bezkresne, o żalosnym i przerażającym wyglądzie. Niezmiernie wysokie pnie drzew, szarych i bezlistnych, wznosiły się kolejno w nieskończoność, aż poza zasięg wzroku. Ich korzenie kryły się w rozległych grzędzawiskach, pod którymi posępna woda była dogłębnie czarna, nieruchoma, a jednocześnie straszna. Te dziwaczne drzewa zdawały się zaś posiadać ludzką żywotność i machając w różne strony swymi przypominającymi kości szkieletu ramionami, błagały milczące wody o litość, z przesywających i budzącymi dreszcze oznakami najostrejszej agonii i rozpacz. Scena się zmieniła: stałem, nagi i samotny, na palących, piaszczystych równinach Sahary. U moich stóp leżał przycupnięty drapieżny lew tropików. Nagle jego dzikie ślepie otwały się i spoczęły na mnie. Konwulsyjnym skokiem stanął na nogi i odsłonił swe straszliwe zębiska. Po chwili z jego czerwonego gardła wyrwał się ryk niby grzmot w niebiosach i od razu upadłem na ziemię. Zesztywnia-

¹ *Bakburta* – lewa, patrząc w stronę dziobu, burta statku.



To byl on!

ły od ataku przerażenia, w końcu częściowo się obudziłem. Mój sen nie był więc żadnym snem. Teraz przynajmniej byłem przy swoich zmysłach. Pazury jakiegoś ogromnego i prawdziwego potwora napierały mocno na mój brzuch – jego gorący oddech padał na moje ucho – a w mroku lśniły nade mną białe i upiorne kły.

Choćby życie tysiąca istot zależało od jednego ruchu mego ciała albo wypowiedzenia sylaby, nie mogłem ani drgnąć, ani przemówić. Bestia, czymkolwiek była, trwała w tej samej pozycji nie próbując posuwać się teraz do bezpośredniej przemocy, podczas gdy ja leżałem pod nią całkowicie bezsilny, i jak sądziłem, bliski śmierci. Czulem, jak szybko opuszczają mnie siły ciała i umysłu, jednym słowem, że umieram, i to umieram od samego przerażenia. Czulem zawroty głowy, było mi coraz gorzej, traciłem wzrok, niewyraźne stały się nawet płonące nade mną ślepia. Czyniąc ostatni mocny wysiłek, wydałem wreszcie słabe wołanie do Boga i pogodziłem się ze śmiercią. Dźwięk mego głosu jakby obudził uśpioną wściekłość zwierza. Wyciągnął się na całą długość nad moim ciałem, lecz jakże się zdumiałem, kiedy z długim i cichym kwileniem zaczął z wielkim zapalem oraz najdzikszymi objawami przywiązania i radości lizać moją twarz i ręce! Byłem zaskoczony, całkowicie pomieszany wskutek oszołomienia, lecz nie mogłem zapomnieć szczególnego skomlenia mojego nowofundlanda Tigera¹ i jego dziwacznych, dobrze mi znanych pieszczot. To był on! Doznałem nagłego napływu krwi do skroni – zawrotnego i przenikającego wszystko poczucia wybawienia i powrotu do życia. Podniosłem się szybko z materaca, na którym leżałem, i objąwszy szyję mojego wiernego towarzysza i przyjaciela, na uwolnienie zaś z długiego uścisku moich piersi odpowiedziałem potopem pełnych uczuć łez.

Po opuszczeniu materaca moje myśli były jak poprzednio w stanie skrajnego otepienia i pomieszania. Długi czas nie byłem niemal w stanie ich pozbiierać, lecz bardzo powoli wracały do mnie zdolności rozumowania i znowu przypomniałem sobie o kilku szczegółach mojego położenia. Na próżno usiłowałem pojąć obecność Tigera i po wysiłonym snuciu tysięcy różnych domysłów na jego temat, musiałem

¹ *Tiger* (ang.) – tygrys.

się zadowolić uznaniem, że jest ze mną, aby dzielić moją ponurą samotność i swymi pieszczotami przynosić pociechę. Większość ludzi kocha swe psy, lecz moje uczucia dla Tigera były znacznie gorętsze niż przeciętne, a na pewno żadna istota bardziej na nie nigdy nie zasługiwała. Od siedmiu lat był moim nieodłącznym towarzyszem i po wielokroć dawał dowody wszystkich tych szlachetnych cech, za które cenimy zwierzęta. Gdy był szczeniakiem uratowałem go z łap złośliwego łobuziaka, prowadzącego go w Nantucket, ze sznurem wokół szyi, do wody, a dorosły pies spłacił ten dług, po jakichś trzech latach, ocalając mnie przed pałką ulicznego rabusia.

Chwyciwszy teraz zegarek stwierdziłem, po przyłożeniu go do ucha, że znowu stanął, lecz wcale mnie to nie zdziwiło, byłem bowiem przekonany, w owym szczególnym stanie umysłu, iż jak poprzednio spałem bardzo długo, jak wszakże długo, nie mogłem oczywiście ustalić. Pałała mnie gorączka, a pragnienie było niemal niemożliwe do zniesienia. Pomacałem w skrzyni w poszukiwaniu nędznej resztki wody, gdyż nie miałem światła, świeczka w latarni wypaliła się do końca, a pudełko zapalek nie nasuwało mi się pod rękę. Natrafiwszy na dzban przekonałem się jednak, że jest pusty – to na pewno Tiger skusił się na wypicie wody, podobnie jak na zjedzenia resztki baraniny, z której została tylko kość, starannie ogryziona i leżąca przy otworze skrzyni. Zepsutego mięsa nie żałowałem, lecz serce mi zamarło na myśl o wodzie. Byłem straszliwie osłabiony – tak bardzo, że dygotałem cały, jak w febrze, przy najmniejszym ruchu czy wysiłku. Na dobitkę moich nieszczęść bryg gwałtownie kołysał się podłużnie i poprzecznie, a baryłkom z olejem na mojej skrzyni groziło w każdej chwili spadnięcie, co zatarasowałoby jedyną drogę wejścia czy wyjścia. Ponadto cierpiałem straszliwie na chorobę morską. Okoliczności te skłoniły mnie do spróbowania dostania się, za wszelką cenę, do kłapy i zyskania natychmiastowej ulgi, zanim przestanę być zdolny do zrobienia i tego. Postanowiwszy to, poszukałem znowu pudełka zapalek i świeczek. Te pierwsze znalazłem bez większego trudu, lecz na świeczki nie trafiłem tak szybko, jak się spodziewałem (gdyż pamiętałem doskonale, w jakim miejscu je zostawiłem), a zatem porzuciłem na razie poszu-

kiwania i nakazawszy Tigerowi leżenie spokojnie, od razu ruszyłem w stronę klapy.

Podczas tej próby coraz bardziej odczuwałem swe wielkie osłabienie. Pełznąć mogłem tylko z najwyższym trudem, a bardzo często nogi ugiwały się nagle pode mną i wówczas padając prosto na twarz, kilka minut leżałem w stanie granicznym z zamroczeniem. Pomimo tego posuwałem się naprzód powoli, pełen lęku, że w każdej chwili mogę zemdleć na tej wąskiej i krętej ścieżce pomiędzy stosami drewna, a w takim przypadku mogłem się spodziewać jedynie śmierci. Wreszcie, ruszywszy z całych sił, jakie mi pozostawały, uderzyłem mocno czołem o ostry narożnik obitej żelazem skrzyni. Wypadek ten oszłomił mnie na kilka chwil; potem zaś stwierdziłem, ku niemożliwej do wyrażenia rozpacz, że szybkie gwałtowne szarpnięcie statku zrzuciło tę skrzynię na moją ścieżkę, skutecznie blokując drogę. Przy najwyższym wysiłku nie byłem w stanie przesunąć jej z miejsca choćby o cal¹, gdyż zaklinowała się między sąsiednimi pakami i sprzętami okrętowymi. Pozostawało mi więc, przy takim stanie osłabienia, albo porzucić prowadzący sznur i poszukać nowego przejścia, albo wspiąć się na przeszkodę i podjąć wędrówkę po drugiej jej stronie. Pierwsze rozwiązanie wiązało się z tyloma trudnościami i niebezpieczeństwami, że myślałem o nim z drżeniem. Przy obecnym braku sił tak ciała, jak i umysłu, niewątpliwie zgubiłbym drogę, gdybym tylko tego spróbował, i zginąłbym nędznie w ponurym i odrażającym labiryncie ładowni. Przystąpiłem więc bez wahania do zebrania wszystkich pozostałych mi sił i hartu ducha, aby podjąć próbę, na ile tylko zdołam, wspięcia się na skrzynię.

Stanąwszy w tym celu prosto stwierdziłem, że jest to zadanie trudniejsze jeszcze, niż ze strachu ośmielałem się sądzić. Po obu stronach wąskiego przejścia wznosiła się istna ściana różnego ciężkiego drewna, które przy najmniejszej pomyłce z mojej strony mogło runąć mi na głowę, a gdyby nawet do tego nie doszło, upadła masa zdołałaby skutecznie zablokować drogę powrotną, tak jak drogę naprzód zamykała przeszkodę. Sama zaś skrzynia była długa i niewygodna, bez żadnego

¹ Cal – niemetryczna jednostka długości równa 1/12 stopy; w krajach anglosaskich cal (*inch*) wynosi 2,54 cm.

na niej oparcia dla nóg. Na próżno próbowałem, z wszystkich sił, sięgnąć jej wierzchu w nadziei, że uda mi się na nią wciągnąć. Choćbym nawet zdołał, moje siły na pewno okazałyby się całkowicie niedostateczne dla dostania się na górę, tak iż pod każdym względem lepiej, że tego nie uczyniłem. Wreszcie w rozpaczliwym wysiłku poruszenia skrzyni, poczułem mocne drgania jej ścianki tuż przy mnie. Z zapałem przytknąłem rękę do krawędzi desek i stwierdziłem, że jedna z nich, bardzo szeroka, jest luźna. Scyzorykiem, który na szczęście miałem przy sobie, zdołałem z wielkim trudem oderwać ją całkowicie i przeciśnąć się przez otwór, odkrywając, ku mej niezmierniej radości, że po drugiej stronie nie ma żadnych desek – innymi słowy, brakowało wierzchu skrzyni, a przedostałem się przez jej dno. Odtąd nie napotkałem na żadne większe trudności w podążaniu za liną, aż wreszcie dotarłem do gwoździa. Z bijącym sercem wyprostowałem się i łagodnie pchnąłem klapę. Nie uniosła się tak szybko, jak oczekiwałem, i napałem trochę mocniej, nadal obawiając się, że w kajucie Augustusa zamiast niego będzie ktoś inny. Drzwiczki ku memu zdumieniu pozostały jednak nieruchome i poczułem lekki niepokój, gdyż wiedziałem, że przedtem ich otwarcie nie wymagało żadnego wysiłku lub co najwyżej małego. Pchnąłem je mocno – pomimo tego się nie ruszyły: użyłem całej siły – nadal nie ustępowały: parłem z gniewem, wściekłością, rozpaczą – opierały się wszystkim moim wysiłkom i było jasne, z niewzruszonej oporu, że albo odkryto otwór pod dywanem i zabito klapę gwoździami, albo umieszczono na niej jakiś ogromny ciężar, o usunięciu którego nie mogłem nawet myśleć.

Czułem skrajne przerażenie i rozpacz. Na próżno próbowałem wyobrazić sobie przypuszczalną przyczynę takiego zamknięcia mnie jak w grobie. Nie zdołałem utworzyć powiązanego łańcucha myśli i zrezygnowany osunąłem się na podłogę, niezdolny oprzeć się najbardziej ponurym rozważaniom, w których straszliwa śmierć z pragnienia, głodu lub uduszenia i przedwczesnego pochówku czyhała na mnie jako bardzo bliskie zagrożenie. Wreszcie odzyskałem część trzeźwości umysłu. Wstałem i macając palcami szukałem szpar lub krawędzi otworu. Po znalezieniu, badałem je starannie sprawdzając, czy przepuszcza ją światło z kajuty, lecz żadnego nie dostrzegłem. Potem wpychałem

w nie ostrze mojego scyzoryka, aż natrafiłem na jakąś twardą przeszkodę. Skrobiąc ją, stwierdziłem, że to lite żelazo, a z odczuwanego przy przesuwaniu ostrza szczególnego falowania rozpoznałem, że to łańcuch. Pozostawało mi jedynie powrócić do skrzyni, a tam albo ulec smutnemu przeznaczeniu, albo spróbować uspokoić umysł na tyle, aby ułożyć jakiś plan ucieczki. Natychmiast dokonałem takiej próby i po niezliczonych trudach zdołałem przebyć całą drogę. Gdy całkowicie wyczerpany opadłem na materac, Tiger wyciągnął się przy mnie na całą długość, i pieszcotami usiłował jakby pocieszać mnie w tarapatach i nakłaniać, abym dzielnie je znosił.

To dziwne zachowanie wreszcie zwróciło moją uwagę. Po lizaniu przez kilka minut mojej twarzy i rąk, nagle przestawał to robić i cicho skomlał. Wyciągnąwszy do niego rękę stwierdziłem, że niezmiennie leży na grzbiecie, z łapami uniesionymi w górę. Pozycja ta, tak często powtarzana, wydawała mi się dziwna i nie potrafiłem w żaden sposób jej wyjaśnić. Ponieważ pies jakby cierpiał, uznałem, że odniósł jakieś obrażenia i chwyciwszy jego łapy, zbadałem je po kolei, lecz nie odnalazłem żadnej rany. Potem pomyślałem, że jest głodny, i dałem mu spory kawał szynki, którą pochłonał chciwie, po czym kontynuował swe dziwaczne manewry. Teraz uznałem, że jak ja cierpi z pragnienia i miałem już przyjąć ten wniosek jako prawdziwy, gdy przyszło mi do głowy, że dotąd zbadałem tylko jego łapy, a rana mogła się znajdować na tułowiu lub głowie. Tę starannie pomacałem, lecz nie znalazłem żadnej. Kiedy jednak przesunąłem dłoń po grzbiecie, wyczułem lekkie nastroszenie sierści ciągnące się wzdłuż całego ciała. Dotykając je palcem znalazłem sznurek, a śledząc go stwierdziłem, że owija całe ciało psa. Po bliższym zbadaniu natrafiłem na mały skrawek sprawiający wrażenie papieru listowego, w ten sposób przymocowany szpagatem, że znajdował się tuż pod lewą łopatką zwierzęcia.



Rozdział III

Natychmiast przyszło mi do głowy, że kartka jest listem od Augustusa, któremu zdarzył się jakiś nieprzewidziany wypadek nie pozwalający na uwolnienie mnie przez niego z lochu, dlatego wymyślił ten sposób przekazania mi wiadomości o prawdziwym stanie rzeczy. Drżąc z niecierpliwości rozpocząłem od nowa poszukiwania zapalek fosforowych i świeczek. Pamiętałem niejasno, że tuż przed zaśnięciem odłożyłem je starannie, a zanim wybrałem się do kłapy, wiedziałem dokładnie, w którym miejscu leżą. Teraz wszakże na próżno próbowałem przywołać te wspomnienia i całą godzinę prowadziłem bezowocne i denerwujące poszukiwania zaginionych przedmiotów, nie będąc na pewno nigdy w życiu w równie drażniącym stanie niepokoju i niecierpliwości. Wreszcie macając obok siebie, z głową przy balaście, blisko otworu skrzyni i poza nią, dostrzegłem nikły blask światła od strony kubryku¹. Wielce zdumiony odważyłem się ruszyć w jego stronę, gdyż wydawało się odległe o zaledwie kilka stóp. Ledwo zacząłem to czynić, kiedy całkowicie straciłem z oczu ową poświatę, i zanim zdołałem dojrzeć ją ponownie, musiałem wrócić po omacku wzdłuż skrzyni, aż nie znalazłem się w dokładnie poprzedniej pozycji. Wówczas przesuając ostrożnie głowę, stwierdziłem, że posuwając się powoli, z wielką uwagą, w kierunku przeciwnym, niż ten, w którym poszedłem pierwotnie, uda mi się zbliżyć do światła, ciągle je widząc. Wreszcie dotarłem do blasku (przecisnąwszy się przez niezliczone wąskie i kręte przejścia) i zobaczyłem, że pochodzi od kawałków moich zapalek leżących w przewróconej na bok pustej beczce. Zastanawiałem się, jak mogły tam się znaleźć, gdy trafiłem ręką na dwa czy trzy kawałki wosku ze świeczki, niewątpliwie przeżutej przez psa. Natych-

¹ *Kubryk* – zbiorowe pomieszczenie mieszkalne załogi na statku, mieszczące się zwykle w części dziobowej.

miast doszedłem do wniosku, że Tiger zjadł cały mój zapas świec i uznałem, że nie mam żadnej nadziei na przeczytanie wiadomości Augustusa. Nikłe resztki wosku były tak pomieszane z innymi śmieciami w beczce, że na nic by mi się nie przydały i zostawiłem je tam. Fosforu, z którego została ledwo plamka czy dwie, zebrałem, ile tylko mogłem, i wróciłem z nim, po wielu trudach, do mojej skrzyni, w której pies przez cały czas pozostawał.

Nie wiedziałem, co robić dalej. W ładowni było tak ciemno, że nie mogłem zobaczyć własnej ręki, nawet trzymanej tuż przy twarzy. Biały skrawek papieru był ledwo dostrzegalny, i to nie wtedy, kiedy patrzyłem na niego prosto, jedynie zwracając doń skrajną część źrenicy, czyli patrząc lekko z ukosa był, jak stwierdziłem, w pewnym stopniu rozróżnialny. Można więc sobie wyobrazić mrok tego więzienia, a list od przyjaciela, jeśli rzeczywiście był od niego, zdawał się jedynie wpędzać mnie w dalsze kłopoty, niepotrzebnie podrażniając mój osłabiony już i udręczony umysł. Na próżno rozważałem w głowie mnóstwo bzdurnych sposobów uzyskania światła – dokładnie takich samych, na jakie jest w stanie wpaść człowiek ogarnięty wywołanym przez opium niespokojnym snem – każdy z takich pomysłów sprawia wówczas śpiącemu wrażenie na przemian bardzo dobrego i wielce niedorzecznego, zupełnie jakby rozsądek i zdolności wyobraźni przełączały się stale, kolejno uzyskując przewagę. Wreszcie przyszła mi do głowy myśl, która wyglądała na trafną i wywołała bardzo uzasadnione zdumienie, że nie wpadłem na nią wcześniej. Światek papieru umieściłem na okładce książki i wzięwszy kawałki zapalek fosforowych, które zabrałem z beczki, położyłem je na kartce. Potem całość wnętrzem dłonią pocierałem szybko i nieustannie. Jasne światło pojawiło się natychmiast na całej powierzchni i gdyby był na niej jakiś napis, na pewno odczytałbym go bez najmniejszego trudu. Nie zawierała jednak ani jednej sylaby – cała była ponuro i rozczarowująco pusta; blask zgasł po kilku sekundach, a wraz nim zamarło we mnie serce.

Już wcześniej więcej niż raz stwierdziłem, że mój umysł od jakiegoś czasu znajdował się w stanie bardzo bliskim zidioceniu. Na



Nie zawierała jednak ani jednej sylaby
– cała była ponuro i rozczarowująco pusta.

pewno zdarzały się krótkie chwile pełnej jego sprawności, a niekiedy nawet energii, lecz były one rzadkie. Należy pamiętać, że przez niewątpliwie wiele dni oddychałem niemal trującym powietrzem zamkniętej ładowni statku wielorybniczego i że przez ten długi czas miałem bardzo szczupłe zapasy wody. Od czternastu czy piętnastu godzin nie miałem jej wcale – a równie długo też nie spałem. Słone zapasy żywności o bardzo ostrym smaku były moim głównym, a właściwie, po stracie baraniny, jedynym źródłem jedzenia, poza morskimi sucharami, a te były dla mnie niemal zupełnie nieprzydatne, jako zbyt wysuszone i twarde, abym zdołał je przełknąć napuchniętym i podrażnionym gardłem. Miałem teraz wysoką gorączkę, byłem pod każdym względem ciężko chory. Tłumaczy to, dlaczego po mojej ostatniej przygodzie z fosforem minęło wiele żalonych godzin zniechęcenia, zanim przyszło mi na myśl, że zbadałem tylko jedną stronę papieru. Nie spróbuję nawet opisać mojej wściekłości (gdyż czułem chyba bardziej złość, niż cokolwiek innego), kiedy uświadomiłem sobie w nagłym przebłysku straszliwe przeoczenie, jakie popełniłem. Sam ten błąd nie miałby znaczenia, gdyby ważnym nie uczyniło go moje szaleństwo i porywczosć – rozczarowany bowiem, że nie znalazłem na urywku żadnych słów, w dziecięcej złości podarłem go na kawałki i wyrzuciłem, nie wiadomo gdzie.

Z najgorszej zgryzoty wyrwała mnie zmyślność Tigera. Znalazłszy po długich poszukiwaniach drobny skrawek kartki, przytknąłem go do nosa psa i jakoś zdołałem mu wytłumaczyć, że musi przynieść resztę. Ku memu zdumieniu (gdyż nie uczyłem go żadnych sztuczek, z których słynie ta rasa), zapewne od razu mnie zrozumiał i szperając kilka chwil, wkrótce znalazł inny spory kawałek listu. Po przyniesieniu go zaczął chwilę i trąc nosem o moją dłoń, zdawał się czekać na pochwałę za to, co zrobił. Poklepałem go po głowie, a wtedy natychmiast odszedł. Teraz minęło kilka minut, zanim wrócił, lecz gdy to uczynił, przyniósł duży skrawek, który stanowił całą brakującą resztę – jak się okazało, podarłem papier jedynie na trzy części. Na szczęście bez trudu odnalazłem kilka pozostałych fragmentów fosforu –

kierowałem się niewyraźnym blaskiem, jaki wydzielała nadal jedna czy dwie jego cząstki. Poprzednie kłopoty przekonały mnie o konieczności rozważni i teraz zastanowiłem się, co powiniennem robić. Było bardzo prawdopodobne – pomyślałem – że jakieś słowa zostały zapisane na tej stronie papieru, której nie obejrzałem – ale która to strona? Zestawienie tych kawałków razem nie dało mi żadnej wskazówki, lecz upewniło, że wyrazy (jeśli jakieś były), znajdowały się po jednej tylko stronie i były połączone w taki sposób, że tworzyły tekst. Rzeczą najwyższej wagi było ustalenie tego ponad wszelką wątpliwość, gdyż pozostały fosfor nie wystarczyłby na trzecią próbę, gdyby nie udała się ta, którą miałem teraz dokonać. Jak poprzednio położyłem papierek na książce, i przez kilka minut siedziałem rozważając starannie całą sprawę. Wreszcie pomyślałem, że istnieje pewne prawdopodobieństwo, iż zapisana strona ma na swojej powierzchni jakieś nierówności, które zdołam może wykryć delikatnym dotykiem. Postanowiłem sprawdzić to doświadczalnie i bardzo uważnie przesunąłem palcem po zwróconej ku mnie stronie papieru. Niczego jednak nie wyczułem i odwróciłem karteczkę, ponownie umieszczając ją na książce. Jeszcze raz ostrożnie przytknąłem palec wskazujący, gdy dostrzegłem bardzo słaby, lecz jednak wykrywalny poblask, który wtedy powstał. Wiedziałem, że musiały go spowodować bardzo drobne pozostałe cząsteczki fosforu, którym pokryłem papier podczas poprzedniej próby. A zatem druga, spodnia strona była tą, na której znajdował się napis, jeśli w ogóle jakiś był. Ponownie przewróciłem kawałek papieru i postąpiłem tak, jak poprzednio. Po potarciu fosforu jak przedtem pojawił się blask, lecz tym razem kilka linijek ręcznego, zamasztyego pisma, najwidoczniej sporządzonego czerwonym atramentem, stało się wyraźnie widoczne. Światło, choć dostatecznie jasne, było chwilowe. Mimo to, gdybym tylko zbytnio się nie podniecił, miałbym dość czasu do przeczytania wszystkich trzech zdań, gdyż dostrzegłem, że jest ich tyle. Niecierpliwie pragnąc jednak odczytać wszystko na raz, zdołałem rozpoznać jedynie siedem ostatnich słów, które brzmiały – *„krwią – twoje życie zależy od pozostawiania w ukryciu”*.

Gdybym zdołał poznać całą treść listu, pojąć w pełni znaczenie ostrzeżenia, które przyjaciel próbował mi w ten sposób przekazać, to choćby owe ostrzeżenie dotyczyło nawet najstraszliwszej do wyrażenia katastrofy, nie byłoby ono w stanie, jestem całkowicie przekonany, wprawić mojego umysłu w choć odrobinę nieokreślonej zgrozy dręczącej mnie wówczas, wywołanej przez tak otrzymaną cząstkę przestrogi. Zaś „krew”, owe słowo nad wszystkie inne słowa – tak w każdej epoce przesycone tajemnicą, cierpieniem i przerażeniem – wówczas sprawiające wrażenie po trzykroć bardziej przepełnionego znaczeniem, jakże przejmującego i ważnego (zwłaszcza odłączone, jak było wtedy, od wszelkich wyrazów poprzednich określających je czy też uściślających), swoimi niejasnymi sylabami docierało, pośród całkowitego mroku mego więzienia, do najgłębszych otchłani mojej duszy!

Augustus miał niewątpliwie zasadne powody, aby pragnąć mojego pozostawania w ukryciu, i snułem tysiące domysłów, co mogło się wydarzyć – nie mogłem jednak wymyśleć żadnego zadowalającego wyjaśnienia tajemnicy. Tuż po powrocie z ostatniej wyprawy do klapy, a zanim moją uwagę odciągnęło dziwne zachowanie Tigera, powziąłem postanowienie, że na wszelkie sposoby dam o sobie znać ludziom na pokładzie, a jeśli nie zdołam uczynić tego wprost, to spróbuję dostać się siłą na najniższy pokład. Połowiczna pewność, jaką odczuwałem, że w ostatecznej potrzebie zdołam osiągnąć któryś z tych celów, dawała mi odwagę (której inaczej bym nie miał) znoszenia złych stron mojego położenia. Kilka słów, jakie udało mi się odczytać, odcinało mnie jednak od tej resztki możliwości wybawienia, i wówczas, po raz pierwszy, odczułem całą nędzę mego losu. W paroksyzmie rozpaczry rzuciłem się znowu na materac, na którym, chyba przez dzień i noc przeleżałem jakby w otępieniu, przerywanym przez krótkie tylko chwile rozsądku i trzeźwości.

Wreszcie wstałem raz jeszcze i zająłem się rozmyślaniami o okropnym położeniu, w jakie popadłem. Było niemożliwe, abym następne dwadzieścia cztery godziny przeżył bez wody – dłużej już nie zdołałbym wytrzymać. Przez pierwszą część mego uwięzienia korzystałem

swobodnie z trunków, w które wyposażył mnie Augustus, lecz jedynie zwiększały one gorączkę, w najmniejszym stopniu nie uśmierzając pragnienia. Teraz została mi z nich tylko ćwiartka pinty, a był to rodzaj mocnego likieru brzoskwiнового, na myśl o którym wywracał się mój żołądek. Kielbasy zostały zjedzone do końca, z szynki został jedynie mały kawałek skórki, a wszystkie suchary, poza drobnymi okruchami jednego, pożarł Tiger. Te moje strapienia zwiększało jeszcze poczucie, że mój ból głowy wzrastał się ciągle, podobnie jak rodzaj delirium, od pierwszego zaśnięcia ogarniający mnie mniej bądź bardziej mocno. Przez kilka ostatnich godzin tylko z najwyższym trudem mogłem oddychać, a teraz każda taka próba dokonywała się z bardzo przygnębiającymi i mocnymi skurczami klatki piersiowej. Istniało jednak jeszcze inne i zupełnie odmienne źródło niepokoju, którego zaiste dręczące mnie lęki były głównym powodem skłaniającym mnie do wyrwania się z odrętwienia na materacu. Wynikały one z zachowania psa.

Zmianę w jego postępowaniu zauważyłem najpierw, kiedy ostatnio na papierze rozcierałem fosfor. Kiedy to robiłem, trącił nosem moją rękę z lekkim warknięciem, lecz byłem wtedy zbyt poruszony, aby zwrócić na to uwagę. Wkrótce potem, należy pamiętać, rzuciłem się na materac i zapadłem w rodzaj letargu. Teraz uświadomiłem sobie dziwny syczący dźwięk blisko uszu i stwierdziłem, że pochodzi od Tigera, dyszącego i prychającego w stanie ogromnego podniecenia, a jego ślepia lśniły dziko w mroku. Przemówiłem do niego, na co odpowiedział cichym warczeniem i się uspokoił. Ponownie zapadłem w odrętwienie, z którego zostałem teraz obudzony w podobny sposób. Powtórzyło się to trzy czy cztery razy, aż wreszcie zachowanie psa nappełniło mnie tak wielkim strachem, że się całkowicie przebudziłem. Leżał obok drzwi skrzyni, warcząc okropnie, chociaż czynił to półgłosem, i szczerząc zęby jakby w silnych konwulsjach. Nie wątpiłem jednak, że brak wody lub skąpość powietrza w ładowni wprawia go w szaleństwo i nie wiedziałem, co robić. Nie mogłem znieść myśli o zabiciu go, choć wydawało się to konieczne dla mego własnego bezpieczeństwa. Mogłem dokładnie widzieć jego oczy utkwione we mnie

z wyrazem przeraźliwej wrogości, w każdej chwili oczekiwałem, że mnie zaatakuje. Wreszcie nie byłem w stanie dłużej znosić tej strasznej sytuacji i postanowiłem za wszelką cenę opuścić skrzynię oraz pozbyć się Tigera, jeśli zmusi mnie do tego jego opór. Aby wydostać się z niej, musiałem przejść nad nim, a już zdawał się przewidywać mój zamiar – podniósł się bowiem na przednie łapy (co poznałem po zmienionej pozycji jego oczu) i pokazał w całości swe białe, łatwo dostrzegalne kły. Wziąłem resztkę skórki szynki i butelkę z likierem, przycisnąłem je do siebie, wraz z dużym nożem kuchennym, jaki zostawił mi Augustus, a następnie owinąwszy się jak najściślej płaszczem, ruszyłem ku wyjściu ze skrzyni. Ledwo to uczyniłem, pies z głośnym warkotem rzucił się mi do gardła. Całą wagą swego ciała uderzył mnie w prawe ramię i odchyliłem się gwałtownie w lewo, zaś rozwścieczone zwierzę przeleciało nade mną. Opadłem na kolana, z głową zapłataną w kocach, co uchroniło mnie od drugiego szaleńczego ataku, podczas którego poczułem ostre zęby zaciskające się silnie na wełnianej tkaninie otaczającej moją szyję – na szczęście nie zdołały przebić wszystkich jej fałd. Byłem teraz pod psem, a za kilka chwil mogłem znaleźć się całkowicie w jego mocy. Rozpacz dodała mi sił i śmiało wstałem, strząsając go z siebie całą mocą i ściągając koce z materaca. Rzuciłem je na niego, a zanim zdołał się wyswobodzić, wypadłem za drzwiczki i zamknąłem je odcinając pogoń. Podczas walki musiałem jednak upuścić kawałek skórki szynki i całe moje zapasy skurczyły się jedynie do gilla¹ trunku. Ledwo o tym pomyślałem, poczułem, że padam ofiarą jednego z tych napadów przewrotności, jakiemu mogłoby w podobnych okolicznościach ulec zepsute dziecko podniósłszy butelkę do ust, opróżniłem ją do ostatniej kropli, potem zaś rzuciłem wściekle na podłogę.

Ledwo ucichło echo uderzenia, gdy usłyszałem moje nazwisko wypowiedziane żarliwym, choć stłumionym głosem, dochodzącym od strony kubryku. Było to tak niespodziewane, a uczucie wzbudzone

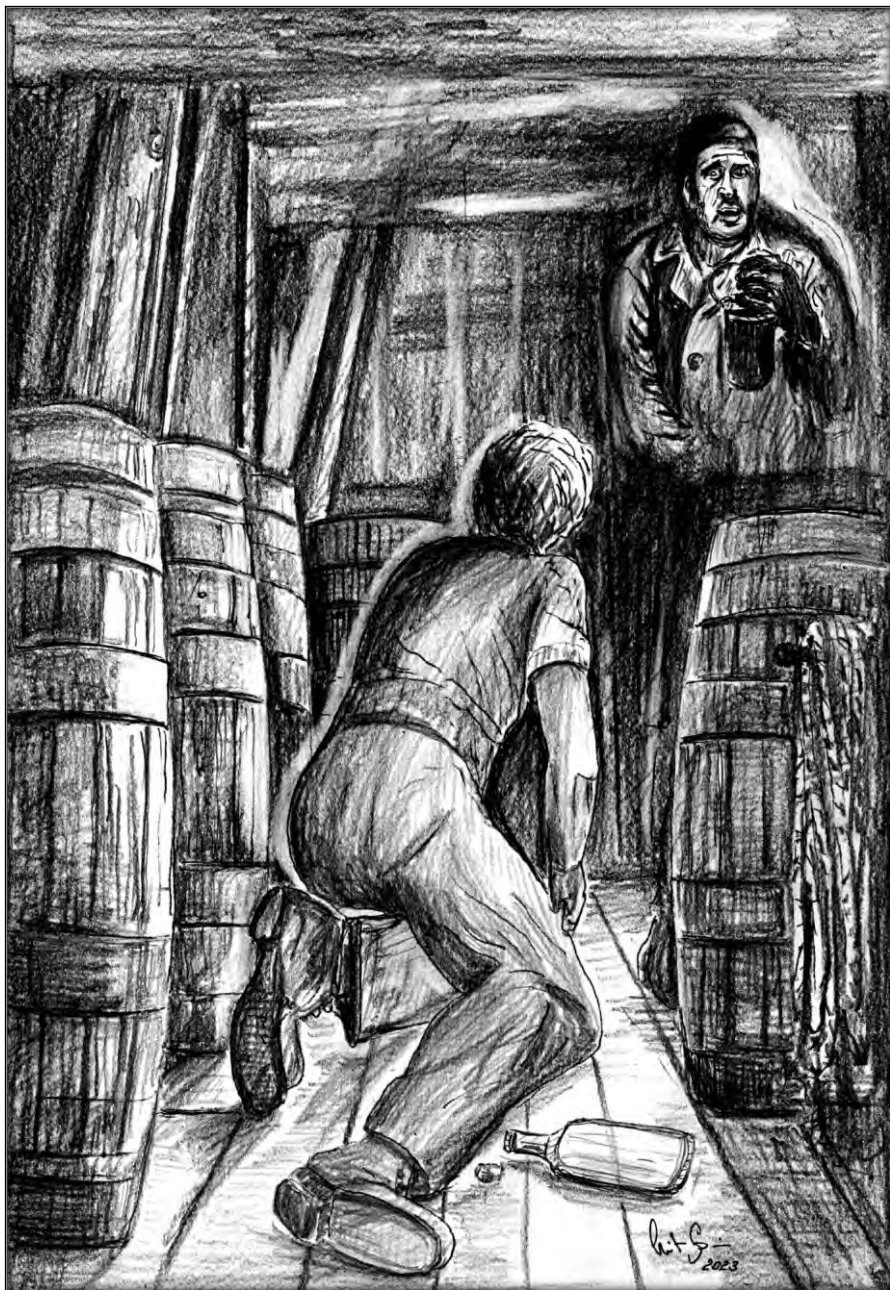
¹ *Gill* – anglosaska miara objętości, jedna czwarta pinty, w Wielkiej Brytanii wynosi 142 mililitry, a w Stanach Zjednoczonych 112 mililitry.



Pokazał w całości swe białe, łatwo dostrzegalne kły.

we mnie tym wołaniem tak silne, że na próżno usiłowałem odpowiedzieć. Możliwości mowy opuściły mnie całkowicie i w agonii przeżycia, że przyjaciel uzna mnie za zmarłego i odejdzie nie próbując do mnie dotrzeć, stałem pomiędzy skrzyniami blisko drzwi kryjówki, drżąc konwulsyjnie, dysząc i próbując się odezwać. Choćby od jednej sylaby zależał los tysiąca światów, nie byłem w stanie jej wypowiedzieć. Usłyszałem teraz cichy odgłos ruchu odbywającego się pośród zapasów drewna gdzieś przede mną. Dźwięk ten stał się mniej wyraźny, a potem coraz bardziej cichł i cichł. Czy kiedykolwiek zapomnę, jakie były w tej chwili moje uczucia? Odchodził – mój przyjaciel, kolega, po którym miałem prawo spodziewać się tak wiele – odchodzi – porzucił mnie – opuścił! Zostawił mnie, abym zginął nędznie, abym wyzionął ducha w najstraszliwszym i najohydniejszym z lochów – a uratowałoby mnie jedno słowo, jedna sylaba – lecz pomimo tego nie mogłem wypowiedzieć tej jednej sylaby! Cierpiałem, byłem pewny, ponad dziesięć tysięcy razy męki samej śmierci. W głowie mi się zakręciło i upadłem, śmiertelnie chory, tuż obok skrzyni!

Podczas upadku nóż kuchenny wysunął mi się zza paska spodni i z brzękiem spadł w podłogę. Nigdy żadna melodia, choćby najpiękniejsza, w moich uszach nie zabrzmiała bardziej słodko! Z największym niepokojem nasłuchiwałem chcąc rozpoznać, jak ten hałas zadziała na Augustusa – gdyż wiedziałem, że osobą wołającą mnie po imieniu mógł być tylko on. Kilka chwil panowała cisza. Wreszcie usłyszałem znowu słowo „Arthur!” powtórzone cichym głosem, z wielkim wahaniem. Odrodzone nadzieje wyzwoliły we mnie natychmiast możliwości mówienia i teraz krzyknąłem z całych sił, „– Augustusie! Och, Augustusie!” – Cii! Na miłość boską, bądź cicho! – powiedział drżącym z wzruszenia głosem. – Zaraz będę przy tobie, gdy tylko przejdę przez ładownię”. Długo słyszałem, jak porusza się wśród zapasów drewna, a każda chwila zdawała mi się wiekiem. Wreszcie poczułem jego rękę na moim ramieniu, a jednocześnie przyłożył mi do ust butelkę z wodą. Tylko ci, którzy zostali nagle wyrwani z objęć grobu, lub doznali nieznośnej udręki pragnienia w okolicznościach równie groźnych co te, które otaczały mnie w suchym jak pieprz więzieniu, mogą mieć pojęcie



Wreszcie usłyszałem znowu słowo „Arthur!” powtórzone cichym głosem,
z wielkim wahaniem.

o niewypowiedzianej uldze, jaką dał mi jeden długi łyk tej najgłębszej z wszystkich dostępnych przyjemności fizycznych.

Gdy w pewnej mierze zaspokoilem pragnienie, Augustus wyjął z kieszeni trzy lub cztery ugotowane ziemniaki, które pochłonałem z najwyższą żarłocznością. Przyniósł z sobą światło w ślepej latarni, a wdzięczne jej promienie dały mi niewiele mniejszą ulgę, aniżeli jedzenie i picie. Niecierpliwie chciałem jednak poznać przyczynę jego przedłużającej się nieobecności; on i zaczął opowiadać, co działo się na pokładzie podczas mojego uwięzienia pod nim.



Edgar Allan Poe



DZIENNIK
JULIUSA RODMANA

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

**Sto czterdziesta pierwsza publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Czterdziesty dziewiąty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
The Journal of Julius Rodman

© Copyright for the Polish translation by Janusz Pultyn, 2024

11 ilustracji, w tym 5 kolorowych kart tablicowych i 1 kolorowa mapa:
Damian Christ

© Copyright for the cover and inside illustrations by Damian Christ,
2024

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja i korekta: Andrzej Zydorczak

Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2024

Wydano razem z powieścią:

Opowieść Arthura Gordona Pyma z Nantucked

ISSN 2449-9137

ISBN 978-83-67876-29-2

Rozdział I

Dzięki przypadkowi, który należy uznać za niesłychanie szczęśliwy, jesteśmy oto w stanie przedstawić naszym czytelnikom opowieść, opatrzoną podanym wyżej tytułem, mającą nadzwyczaj zdumiewający charakter i bez wątpienia niezmiernie ciekawą. Zamieszczony na dalszych stronicach „Dziennik” jest nie tylko sprawozdaniem z *pierwszej*¹ zakończonej powodzeniem próby przekroczenia gigantycznych zapór tworzonych przez ów ogromny łańcuch gór², jaki rozciąga się od Morza Polarne go na północy do Przesmyku Darien³ na południu, na całym swym przebiegu stanowiąc skalisty i zwieńczony śniegiem szaniec, ale również, co jest znacznie bardziej ważne, zawiera szczegóły wyprawy odbytej poza tymi szczytami, poprzez olbrzymie przestrzenie ziem, o których *w dzisiejszych czasach* nadal sądzi się, że nikt jeszcze po nich nie podróżował i uważa się je za nieznanne, a na każdej mapie kraju, do jakiej zdołaliśmy dotrzeć, oznaczone są one jako *obszary niezbadane*. Ponadto jest to *jedyna* niezbadana jeszcze kraina, jaka leży w granicach kontynentu Ameryki Północnej. Z tego właśnie powodu przyjaciele zdobędą się bez trudu na wybaczenie nam odrobiny *namaszczenia*, z jakim usilnie namawiamy do powszechnego zainteresowania się przedkładanym tutaj „Dziennikiem”. Sami także przekonaliśmy się, po starannym jego przestudiowaniu, że budzi on takie natężenie i taki rodzaj ciekawości, jakiego *nie* wzbudziła dotychczas żadna podobna tej relacja. Nie sądzimy również, aby nasze powiązania z czasopismami, które wybraliśmy jako kanał przekazu, przez jaki ma on być po raz pierwszy ujawniony, wywarły większy, aniżeli dość skromny wpływ na wzbudzenie zainteresowania nim. Jesteśmy pewni, że wszyscy nasi czytelnicy podzielą żywione przez nas przekonanie, iż opisane w niniejszym „Dzienniku” przygody są nadzwyczaj ciekawe i ważne. Szczególny charakter dżentelmena, który był przywódcą i duszą wyprawy, a także jej kronikarzem, sprawił iż wszyst-

ko, co pisał, przesyłał wielką dawką romantycznego zapału, jakże odmiennego od oziębłego i nieporuszającego nastroju, który przenika większość sprawozdań tego rodzaju. Pan James E. Rodman, od którego otrzymaliśmy rękopis, jest dobrze znany wielu czytelnikom tego „Magazynu”⁴; podziela także w pewnym stopniu ów temperament, jaki naznaczył goryczą wcześniejszą część żywota jego dziadka, pana Juliusa Rodmana, twórcy niniejszej opowieści. Mamy tu na myśli dzie dziczną hipochondrię⁵. To właśnie owa choroba, bardziej niż cokolwiek innego, skłoniła go do podjęcia próby przeprowadzenia opisaney poniżej szczegółowo niezwyklej wyprawy. Zamiary oddawania się łowom i zastawianiu pułapek na zwierzynę, o których sam pan Rodman wspomina na początku swojego „Dziennika”, nie były niczym więcej, na ile możemy się domyślać, jak tylko wymówkami, którymi przekonywał swój własny rozum do podjęcia owej próby, jakże śmiałej i nowej. Nie może budzić najmniejszej wątpliwości, jak uważamy (a nasi czytelnicy będą uważali tak samo, jak my), że jego jedyną pobudką było pragnienie odnalezienia pośród pustkowi tego spokoju, którego szczególne usposobienie jego duszy nie dopuszczało, aby cieszył się nim pomiędzy ludźmi. Udał się na pustynię jakby szedł do przyjaciela. Wyłącznie poprzez takie postrzeganie tego przypadku liczne punkty jego sprawozdania jesteśmy w stanie godzić z naszymi pospolitymi wyobrażeniami na temat ludzkich działań.

Chociaż uznaliśmy za stosowne pominięcie tych dwóch stron rękopisu, na których pan R. pisał trochę o swoim życiu sprzed wyruszenia w górę Missouri⁶, to być może warto podać tutaj, że pochodził on z Anglii, gdzie jego krewni cieszyli się wielkim poważaniem, w której odebrał dobre wykształcenie i skąd w roku 1784 (miał wówczas około osiemnastu lat) wraz z ojcem i dwiema młodszymi siostrami wyemigrował do tego kraju. Rodzina zamieszkała najpierw w Nowym Jorku; lecz potem wyjechała do Kentucky⁷ i osiedliła się, żyjąc niemal jak pustelnicy, na brzegach Missisipi⁸, niedaleko miejsca, w którym obecnie nad tą rzeką leży Mills Point⁹. Tam to starszy pan Rodman zmarł jesienią 1790 roku; następnej zaś zimy w odstępnie kilku tygodni ospa zabrała do grobu obie jego córki. Niedługo potem (na wiosnę 1791

roku) pan Julius Rodman, syn, wyruszył na wyprawę, stanowiącą temat następnych stron. Po powrocie z niej w roku 1794, jak zostanie podane poniżej, na swe miejsce życia wybrał okolice Abingdon¹⁰ w Wirginii¹¹, gdzie się ożenił, miał troje dzieci, i gdzie mieszka obecnie większość jego potomków.

Pan James Rodman poinformował nas, że jego dziadek w czasie licznych trudności, z jakimi spotykał się na trasie swojej wyprawy, prowadził jedynie szkic dziennika; zaś dostarczony nam rękopis został przezeń szczegółowo sporządzony z tego pamiętnika dopiero wiele lat po jego napisaniu, kiedy to wędrowca do podjęcia tego zadania przez usilne nalegania namówił m.¹² *Andre Michau*¹³, botanik oraz autor dzieł¹⁴ *Flora Boreali-Americana* i *Histoire des Chênes d'Amerique*. Jak należy pamiętać, m. Michau złożył ofertę¹⁵ swoich usług panu Jeffersonowi¹⁶, kiedy ów mąż stanu po raz pierwszy zastanawiał się nad wysłaniem ekspedycji mającej przebyć Góry Skaliste¹⁷. Zabrał się do przygotowywania wyprawy, a nawet udał się podczas niej aż do Kentucky, kiedy to został odwołany rozkazem francuskiego ambasadora¹⁸, urzędującego wówczas w Filadelfii¹⁹, wzywającym go do zarzucenia tego projektu i dalszego prowadzenia w innych miejscach badań botanicznych, do których został zatrudniony przez swój rząd. Rozważane przedsięwzięcie przejęli następnie *messieurs*²⁰ Lewis²¹ i Clark²², którzy pomyślnie je przeprowadzili.

Ukończony rękopis nigdy jednak nie dotarł do p. Michau, choć został sporządzony w tym celu, aby się z nim zapoznał; jak zawsze przypuszczano, miał zgubić go po drodze młody człowiek, którego obarczono zadaniem dostarczenia tych papierów do tymczasowej siedziby m. Michau w pobliżu Monticello²³. Nie podjęto niemal żadnej próby odzyskania dokumentów; szczególnie charakter pana Rodmana sprawiał, że takie poszukiwania niewiele go interesowały. Choć bowiem może się to wydawać dziwne, to na podstawie tego, co nam o nim mówiono, naprawdę wątpimy, aby sam podjąłby kiedykolwiek najmniejsze nawet kroki zmierzające *do ogłoszenia publicznie* wyników swojej ogromnie nadzwyczajnej podróży; sądzimy, że jedynym jego celem podczas poprawiania swego oryginalnego „Dziennika” była chęć wyświadcze-

nia przysługi m. Michau. Nawet projekt pana Jeffersona przeprowadzenia wyprawy badawczej, który to zamiar w czasach jego ogłoszenia wywoływał niemal powszechne zainteresowanie i był uważany za całkowitzą *nowość*, bohatera naszej opowieści skłonił do wygłoszenia tylko kilku ogólnych uwag, przeznaczonych do członków jego rodziny. Swą własną wyprawę nigdy nie uczynił tematem prowadzonych rozmów; wydawał się raczej go unikać. Umarł przed powrotem Lewisa i Clarka; a „Dziennik”, który miał zostać przekazany w ręce posłańca, aby ten dostarczył go m. Michau, jakieś trzy miesiące temu znaleziono w tajnej szufladzie biurka będącego własnością p. Juliusa R. Nie dowiedzieliśmy się, kto go tam umieścił – wszyscy krewni pana R. oczyszczali go z podejrzeń, że to on dokonał ukrycia; wszelako bez żadnego zamiaru uwłaczania pamięci tego dżentelmena, czy też pana Jamesa Rodmana (w stosunku do którego czujemy się szczególnie zobowiązani), nie jesteśmy w stanie oprzeć się przekonaniu, iż domysł, według którego narrator w jakiś sposób odebrał pakiet posłańcowi i ukrył go w miejscu, w którym został odnaleziony, jest wysoce trafny i ani trochę nie jest sprzeczny z charakterem przepojonym chorobliwą nadwrażliwością, która wyróżniała ową osobę.

Nie pragnęliśmy w żadnej mierze zmieniać *sposobu* prowadzenia narracji przez pana Rodmana, dlatego też pozwalaliśmy sobie na bardzo niewielką swobodę w postępowaniu z rękopisem, a owe nieliczne przypadki dotyczyły jedynie dokonywania skrótów. Trudno w istocie byłoby dokonywać ulepszania stylu – jest prosty i bardzo skuteczny; świadczy o głębokości zachwyty, z jakim podróżnik rozkoszował się majestatycznymi nowymi przeżyciami, które spotykały go dzień po dniu. Istnieje pewien rodzaj *rozczenia* przesycający jego sprawozdanie, nawet w opisach najcięższych trudności i niebezpieczeństw, który pozwala nam od razu rozpoznać całą osobliwość usposobienia tego człowieka. Przepęniała go gorąca miłość do przyrody; być może uwielbiał ją mocniej w jej ponurych i dzikich postaciach, niż wówczas, gdy objawiała się w swojej łagodności i radości. Poprzez tamte ogromne i często straszne dzicze wędrował z wyraźnie widocznym zachwytem w sercu, którego zazdrościmy mu podczas czytania. Był naprawdę

właściwym *człowiekiem* do odbywania podróży pośród wszystkich tych majestatycznych pustkowi, które niewątpliwie jakże ogromnie lubił opisywać. Jego duch był stworzony do postrzegania; jego prawdziwą zdolnością było odczuwanie. Dlatego też na jego rękopis patrzymy jak na pełen bogactw skarb – na swój sposób rzeczywiście niezrównany – w istocie żaden inny nigdy mu nie dorównał.

To, iż opisane w tej opowieści wydarzenia pozostawały dotychczas *utracone*²⁴; że nawet *fakt* przekroczenia Gór Skalistych przez pana Rodmana przed wyprawą Lewisa i Clarka nie został nigdy ogłoszony publicznie, ani że nie ma o nim najmniejszej wzmianki w pracach kogokolwiek piszącego o geografii amerykańskiej (albowiem z całą pewnością nigdy nie zostało to wspomniane, na ile byliśmy w stanie stwierdzić), należy uznać za wielce zdumiewające, a nawet za niezmiernie dziwne. Jedyne napomknienie o tej wyprawie, o jakim zdołaliśmy się dowiedzieć, znajduje się podobno w nieopublikowanym liście m. Michau, znajdującym się w posiadaniu pana W. Wyatta z Charlottesville²⁵ w stanie Wirginia. Napisano tam o niej w sposób przygodny, na marginesie, jako o „cudownie przeprowadzonym gigantyczny zamysłu”. Jeżeli nawet pojawiła się jakaś inna wzmianka o tej podróży, to jest nam ona całkowicie nieznaną.

Zanim przejdziemy do własnego sprawozdania pana Rodmana, nie od rzeczy będzie przyjrzenie się temu, co osiągnęli inni, dokonując odkryć w północno-zachodniej części naszego kontynentu. Jeżeli czytelnik umieści przed sobą mapę Ameryki Północnej, łatwiej mu będzie podążać za podawanymi przez nas spostrzeżeniami.

Zobaczy na niej, że kontynent ten rozciąga się od Oceanu Arktycznego, czyli od mniej więcej 70 równoleżnika szerokości geograficznej północnej, aż do 9; i od 56 południka na zachód od Greenwich aż do 168. Całość olbrzymiego przestworu tego terytorium cywilizowany człowiek w większym bądź mniejszym stopniu już przemierzył; a nawet bardzo wielką jego część na stałe zasiedlił. Pozostaje wszakże niezmiernie szeroka połać terenu, którą na wszystkich naszych mapach oznacza się nadal jako *niezbadaną*²⁶, i którą po dziś dzień ciągle jest za taką uważana. Połać²⁷ tę od południa wyznacza 60 równoleżnik,

Ocean Arktyczny od północy, Góry Skaliste na zachodzie oraz posiadłości Rosji²⁸ na wschodzie²⁹. *To jednak p. Rodmanowi przypada zaszczyt przemierzenia w wielu kierunkach tego szczególnie dzikiego regionu; najciekawsze zaś szczegóły ogłaszanej teraz opowieści dotyczą jego przygód i dokonywanych tam odkryć.*

Najwcześniejszymi być może podróżami o większym znaczeniu, jakich w Ameryce Północnej dokonali biali ludzie, były wyprawy w roku 1698³⁰ Hennepina³¹ i jego przyjaciół³² – ale ponieważ swoje badania prowadził głównie na południu, nie czujemy się zobowiązani do szerszego ich omówienia.

Pan Irving³³ w swojej *Astorii*³⁴ wspomina o przedsięwzięciu kapitana Jonathana Carvera³⁵ jako pierwszej dokonanej kiedykolwiek próbie przecięcia całego kontynentu od Oceanu Atlantyckiego do Spokojnego; okazuje się wszakże, że w tej sprawie się pomylił, ponieważ w jednym z dzienników³⁶ sir Alexandra Mackenziego³⁷ możemy przeczytać o dwóch różnych wyprawach³⁸, które wyruszyły pieszo mając ten właśnie cel, zapoczątkowanych przez Kompanię Zatoki Hudsona³⁹, jednej w roku 1758, a drugiej jeszcze wcześniej, w 1749; obie wszakże zapewne zakończyły się całkowitym niepowodzeniem, gdyż nie zachowały się żadne sprawozdania z owych ekspedycji. To w roku 1763, wkrótce po przejściu⁴⁰ Kanad⁴¹ przez Wielką Brytanię, kapitan Carver przedsięwziął swą podróż. Podjął on zamiar przebycia całego tego kraju, między czterdziestym trzecim a czterdziestym szóstym stopniem szerokości geograficznej północnej, aż do wybrzeży Pacyfiku. Jego celem było rozpoznanie rozmiarów kontynentu w jego najszerszej części i wskazanie, na zachodnim wybrzeżu, jakiegoś miejsca, w którym rząd mógłby założyć placówkę mającą ułatwić odkrycie przejścia północno-zachodniego⁴², czyli połączenia wodnego między zatoką Hudsona⁴³ a Oceanem Spokojnym. Carver przypuszczał, że Columbia⁴⁴, nazywana wówczas Oregonem⁴⁵, uchodziła do morza gdzieś w cieśninie Annian⁴⁶; liczył, że właśnie tam zdoła założyć ową placówkę. Sądził również, że osada powstała w tamtej okolicy ustanowi nowe źródła handlu i otworzy bardziej bezpośrednie połączenie z Chinami i posiadłościami brytyjskimi w Indiach Wschod-



To jednak p. Rodmanowi przypada zaszczyt przemierzenia w wielu kierunkach tego szczególnie dzikiego regionu.

nich⁴⁷ aniżeli stary szlak, który zapewnił Przylądek Dobrej Nadziei⁴⁸. Jego próba przekroczenia gór spaliła jednakże na panewce⁴⁹.

Z upływem czasu następną ważną wyprawą odbytą w północnej części Ameryki była ta przeprowadzona przez Samuela Hearne'a⁵⁰, który w celu odkrycia kopalni miedzi w roku 1769, 1770, 1771 i 1772 z Prince of Wales Fort⁵¹, nad zatoką Hudsona, wyruszał na północny zachód, docierając aż do brzegów Oceanu Arktycznego⁵².

Należy następnie odnotować drugą próbę wyprawy pieszo kapitana Carvera, dokonaną w roku 1774, w której dołączył do niego Richard Whitworth⁵³, członek Parlamentu i człowiek zamożny. Owe przedsięwzięcie wspominamy jedynie ze względu na wielką skalę, na jaką zostało zaplanowane; w rzeczywistości bowiem nie zostało ono nigdy przeprowadzone. Dżentelmeni ci zamierzali zabrać ze sobą pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu ludzi, rzemieślników i marynarzy, aby wraz z nimi wyruszyć w górę nurtu jednego z odgałęzień Missouri, odszukać w górach źródła Oregonu i spłynąć tą rzeką do jej przypuszczalnego ujścia, w pobliżu cieśniny Annian. Miał zostać tam zbudowany fort, a także statki w celu prowadzenia dalszych odkryć. Przedsięwzięcie to udaremnił wybuch rewolucji amerykańskiej^{54, 55}.

Już od roku 1775 kanadyjscy misjonarze zajmowali się handlem futrami na północ i zachód do brzegów rzeki Saskatchewan⁵⁶ na 53 stopniu szerokości geograficznej północnej i 102 długości geograficznej zachodniej; a na początku 1776 roku p. Joseph Frobisher⁵⁷ wyprawił się w tym kierunku, docierając aż do 55 stopnia N. i 103 stopnia W^{58, 59}.

W roku 1778 p. Peter Pond⁶⁰ z czterema canoe dopłynął do rzeki Elk⁶¹, około trzydziestu mil na południe od jej połączenia z Lake of the Hills^{62, 63}.

Należy teraz koniecznie wspomnieć o innej jeszcze próbie, nieudanej na samym jej początku, pokonania najszerszej części kontynentu od oceanu do oceanu. O samym podjęciu tej próby powszechnie niemal nic nie wiadomo, wspomniął⁶⁴ o niej tylko pan Jefferson, a i to w sposób wyłącznie pobieżny. Pan J. przekazał, że Ledyard⁶⁵ zgłosił się do niego w Paryżu, pragnąc gorąco dokonania jakiegoś nowego przed-

sięwzięcia, po zakończeniu pomyślnie podróży z kapitanem Cookiem⁶⁶; oraz że on (pan J.) zaproponował mu, aby dotarł łądem na Kamczatkę⁶⁷, przepłynął się na jakimś rosyjskim statku do Nootka Sound⁶⁸, udał się na południe do szerokości geograficznej Missouri, a następnie, po pokonaniu owego kraju, spłynął w dół tej rzeki do Stanów Zjednoczonych. – Ledyard przyjął ową propozycję pod warunkiem wszakże uzyskania zgody rządu rosyjskiego. P. Jefferson zdołał ją uzyskać, zaś podróżnik, wyruszywszy z Paryża, przybył do Sankt Petersburgu wówczas, jak cesarzowa⁶⁹ opuściła już to miejsce, aby spędzić zimę w Moskwie. Ponieważ stan finansowy nie pozwalał mu na niekonieczny pobyt w St. P., wyruszył on ponownie w drogę z paszportem uzyskanym od jednego z ministrów, lecz w odległości dwustu mil od Kamczatki został aresztowany przez oficera cesarzowej, która zmieniła zdanie i teraz zabroniła Ledyardowi dalszego podróżowania. Został on wsadzony do zamkniętego powozu, który jechał pędem dzień i noc, nie zatrzymując się, aż dotarł do Polski, gdzie wysadzono go i uwolniono. P. Jefferson, pisząc o przedsięwzięciu Ledyarda, błędnie nazwał je „*pierwszą próbą zbadania zachodniej części naszego północnego kontynentu*”.

Następnym dokonaniem w owym czasie przedsięwzięciem było nadzwyczajne osiągnięcie sir Alexandra Mackenziego, rozpoczęte w roku 1789. Wyruszył on z Montrealu⁷⁰, popłynął rzekę Utawas⁷¹, jeziorem Nipissing⁷², jeziorem Huron⁷³, wzdłuż północnego brzegu Jeziora Górnego⁷⁴, przez tak zwany Grand Portage⁷⁵, stamtąd posuwał się wzdłuż rzeki Rain⁷⁶, Lake of the Woods⁷⁷, jeziora Bonnet⁷⁸, górnej części Dog-Head Lake⁷⁹, południowego wybrzeża jeziora Winnipeg⁸⁰, przez Cedar Lake⁸¹ i poza ujściem Saskatchewan do jeziora Sturgeon⁸²; potem znowu przenoską do Missinipi⁸³ i poprzez jeziora Black Bear⁸⁴, Primos⁸⁵ i Buffalo⁸⁶ do pasma wysokich gór⁸⁷ biegnących z północnego wschodu na południowy zachód – następnie rzeką Elk popłynął do Lake of the Hills – stamtąd rzeką Niewolniczą⁸⁸ do Jeziora Niewolniczego⁸⁹ – wokół północnego brzegu tego ostatniego do rzeki Mackenzie⁹⁰, a wreszcie w dół jej nurtu aż do Morza Polarnego – była to ogromna podróż, podczas której zetknął się on z niezliczonymi nie

Missouri River



Trasa wyprawy opisanej
w dzienniku Juliusa Rodmana
Ameryka Północna
1791 - 1792

Christ Damian 2022

Mapa trasy opisanej w dzienniku Juliusa Rodmana
Ameryka Północna 1791-1792.

bezpieczeństwami i najcięższego rodzaju trudnościami. Podczas spływania w dół całego nurtu rzeki Mackenzie, aż do jej ujścia, Mackenzie posuwał się wzdłuż podnóża wschodnich zboczy Gór Skalistych, ale nigdy nie przekroczył owych zapór. Kiedy wszakże wiosną roku 1793⁹¹ wyruszył z Montrealu i podążając trasą swojej pierwszej podróży aż do ujścia rzeki Unjigah⁹² lub Peace River⁹³, skręcił na zachód, w górę tego nurtu, przedostał się przez góry na 56 stopniu szerokości geograficznej, następnie zaś podążał na południe, dopóki nie natrafił na rzekę, którą nazwał Salmon⁹⁴ (obecnie Frazera⁹⁵), i posuwając się nią dotarł wreszcie do Pacyfiku mniej więcej na 40 równoleżniku⁹⁶ N. L.⁹⁷

Pamiętna wyprawa kapitanów Lewisa i Clarka miała miejsce w latach 1804-1806. W roku 1803 zbliżał się koniec ważności ustawy o zakładaniu placówek handlujących z plemionami indiańskimi, i 18 stycznia pan Jefferson w poufnym posłaniu zalecił Kongresowi pewne jej przekształcenia (z rozszerzeniem jej zakresu na Indian znad Missoury). W celu utorowania drogi jej przyjęcia, zaproponowano wysłanie grupy ludzi, którzy podążą Missouri aż do źródła tej rzeki, przekroczą Góry Skaliste i najlepszą drogą wodną, jaka okaże się możliwa, spłyną stamtąd do Oceanu Spokojnego⁹⁸. Zamysł ten został w całej pełni przeprowadzony; kapitan Lewis zbadał (ale nie „odkrył” jako pierwszy, jak podaje pan Irving) górny bieg rzeki Columbia i wzdłuż jej nurtu podążał aż do ujścia. Dolny bieg Columbii już w roku 1793 odwiedził Mackenzie⁹⁹.

Z wyprawą badawczą Lewisa i Clarka w górę Missouri zbiegła się podróż w górę Missisipi majora Zebulona M. Pike’a¹⁰⁰, któremu udało mu się wysledzić bieg tej rzeki do jej źródła w jeziorze Itasca¹⁰¹. Po powrocie z tej podróży z rozkazu rządu wyruszył z Missisipi na zachód, w latach 1805, 1806 i 1807, do górnego biegu Arkansas¹⁰² (za Górami Skalistymi na 40 stopniu szerokości geograficznej północnej) podążając wzdłuż rzek Osage¹⁰³ i Kansas¹⁰⁴ oraz do źródła Platte¹⁰⁵.

W roku 1810 pan David Thompson¹⁰⁶, partner North West Fur Company¹⁰⁷, z liczną grupą wyruszył z Montrealu w zamiarze przecięcia kontynentu aż do Oceanu Spokojnego. Pierwsza część trasy była ta sama, co Mackenziego w roku 1793. Celem wyprawy było uprzede-

nie wykonania zamiaru pana Johna Jacoba Astora¹⁰⁸ – a mianowicie założenia placówki handlowej w pobliżu ujścia Columbii. Większość towarzyszy Thompsona opuściła go po wschodniej stronie gór; ale w końcu udało mu się przekroczyć ich łańcuch, mając zaledwie ośmiu zwolenników, natrafił z nimi na północną odnogę Columbii i spłynął tą rzeką z punktu znacznie bliżej jej źródła niż jakikolwiek biały człowiek dokonał tego wcześniej.

W 1811 roku przeprowadzono z powodzeniem zdumiewające przedsięwzięcie¹⁰⁹ pana Astora – w każdym razie w tej jego części, która dotyczyła podróży przez cały kraj. Ponieważ pan Irving sprawił już, że wszyscy jego czytelnicy poznali dobrze szczegóły owej podróży, wystarczy, że wspomnimy o niej tylko pokrótce. O zamiśle wyprawy dopiero co mówiliśmy. Trasa grupy (pod dowództwem pana Wilsona Price'a Hunta¹¹⁰) wiodła z Montrealu, w górę Utawas, przez jezioro Nipissing oraz ciąg małych jezior i rzek, do Michilimackinac¹¹¹, inaczej Mackinaw¹¹² – stamtąd przez Green Bay¹¹³, rzeki Fox¹¹⁴ i Wisconsin¹¹⁵ do Prairie du Chien¹¹⁶ – następnie w dół Missisipi do St. Louis¹¹⁷ – dalej w górę Missouri, do wioski Indian Arickara¹¹⁸, leżącej między 46 a 47 równoleżnikami szerokości geograficznej północnej oraz tysiąc czterysta trzydzieści mil od ujścia rzeki – stamtąd zaś, po skręceniu na południowy zachód i przebyciu pustyni, jak też pokonaniu gór w pobliżu miejsca, w którym znajdują się główne źródła rzek Platte i Yellowstone¹¹⁹, a potem wzdłuż południowego odgałęzienia¹²⁰ Columbii do morza. Powracające z tej ekspedycji dwie małe grupy dokonały najbardziej wypełnionych niebezpieczeństwami i wydarzeniami podróży przez całe państwo.

Kolejne ważne w kolejności są podróże majora Stephena H. Longa¹²¹. Dżentelmen ten w roku 1823 wyprawił się do źródeł rzeki St. Peter's¹²², do jeziora Winnipeg, do Lake of the Woods i w inne miejsca. O odbytych niedawno podróżach kapitana Bonneville'a¹²³ i innych właściwie nie trzeba wspominać, ponieważ nadal tkwią one w powszechnej pamięci. Przygody kapitana B. zostały dobrze opisane¹²⁴ przez pana Irvinga. W roku 1832 wyruszył z Fort Osage¹²⁵, przebył Góry Skaliste i przez niemal trzy lata przebywał w krainach poza

nimi. W granicach Stanów Zjednoczonych jest bardzo mało terenów, których by w ostatnich latach nie przemierzył czy to jakiś przedstawiciel nauki, czy to jakiś awanturnik. Jednakże na rozległych i wyzbytych obecności człowieka obszarach, które leżą na północ od naszego terytorium i na zachód od rzeki Mackenzie, nigdy, o ile wiadomo, nie stanęła stopa żadnego cywilizowanego człowieka, z wyjątkiem pana Rodmana i jego bardzo małej grupy. W sprawie zaś rozstrzygnięcia, kto dokonał *pierwszego* przejścia przez Góry Skaliste, okaże się, na podstawie tego, co już powiedzieliśmy, że zaszczyt przeprowadzenia tego przedsięwzięcia nie powinien nigdy przypaść Lewisowi i Clarke'owi, ponieważ zdołał to uczynić Mackenzie w rok 1793; zaś w istocie to pan Rodman był pierwszym, który pokonał te gigantyczne zapory; przekraczając je zaiste w 1792 roku. Dlatego też nie bez zasadnego powodu zwracamy uwagę opinii publicznej na niezwykle opowieść, która zostanie poniżej przedstawiona¹²⁶.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!